

# KRONIKA RODZINNA.

PISMO DWUTYGODNIOWE.

## WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wynosi: w Warszawie: rocznie.....r. 4 kop. —  
półrocznie..... „ 2 „ —  
kwartalnie..... „ 1 „ —  
Na prowincji i w Cesarstwie dla nad-  
syłających pieniądze na prenumera-  
tę wprost do Redakcji: }  
rocznie..... „ 5 „ —  
półrocznie..... „ 2 „ 50  
kwartalnie..... „ 1 „ 25

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych, w Ekspedycji Gazet, w wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych i w Redakcji, przy ulicy Mazowieckiej, dom hr. Zamojskiego Nr. 1346; w Krakowie, w księgarni pana Friedleina; w Poznaniu, w księgarni p. Leigebiera; we Lwowie, w księgarni pp. Czajkowskiego i Seyffartha.

SPIS ARTYKUŁÓW. — Niedokończony telegram, powiastka przez Jana Zacharjasiewicza. (Dokończenie). — Stanowisko praktyczne dawnych wiadomości, przez Wł. Chomętowskiego, (Ciąg dalszy). — Wpływ dźwięków w przyrodzie, przez J. — Listy z Petersburga, przez Artura Dolińskiego. — Eglantyna, powieść pani Beecher-Stowe przekład z angielskiego J. C. (Ciąg dalszy).

## NIEDOKONCZONY TELEGRAM.

POWIASTKA

Jana Zacharjasiewicza.

(Dokończenie.)

Było to jakoś na początku Września. Pan Kryspin od trzech dni bawił w mieście powiatowem. Przez te trzy dni widziano go chodzącego co wieczór do dworku przedmiejskiego. Być może, że nie tylko neutralnym mieszkańcom przedmieścia to w oczy wpadło, może i sama ciotunia wraz z Maryą te trzydniowe odwiedziny za coś stanowczego poczytały i w tym duchu panu Michałowi wiadomość przesłały.

Prócz tego były te trzy dni jakieś dziwne, niepe-  
wne. Telegramów na stacyi nie było, a wieści za to  
aż za wiele. Jedni opowiadali, że świder dotarł już do  
jeziora nafty, drudzy modyfikowali tę wiadomość mniej-  
szą komparacją, a byli nawet i tacy, którzy praw-  
dziwie Hiobowe wieści roznosili.

Pan Kryspin mocno się tém niepokoił i dla tego  
odbywał w mieście to trzydniowe nabożeństwo. Cho-  
dził trzy razy na dzień do naczelnika stacyi, ale tam  
zamiast spodziewanego telegramu zastawał zawsze swe  
go mniemanego rywala, który niby o jakąś rolę w te-  
atrze amatorskim umawiał się z telegrafistą.

Niepokój ogarnął pana Kryspina. W hotelu nie  
mógł wysiedzieć, u Maryi nie wypadało dwadzieścia  
godzin dziennie przepędzać, na ulicy było mu nudno,  
gorączka wzmagała się w nim.

Największą nieprzyjaciółką każdego epuzera jest  
rozgorączkowana jego wyobraźnia, czy mu daje rzeczy  
dobre czy ujemne. Doświadczył teraz tego na sobie  
pan Kryspin.

Naprzód wyobraził sobie, że jego rywal rzeczywi-  
ście może porwać mu Maryę!.. Wtedy... ol jakże pię-  
kną była ta Marya! Jak on ją kochał, ubóstwiał! Ona  
była mu życiem, była wszystkiem na świecie! Bez niej  
musiałby umrzeć lub żyć kaleką i po drodze życia  
czołgać się jak robak nadeptany!..

Nie, to być nie może!.. on nie może jęj postradać...  
on musi ją posiadać, choćby mu przyszło walczyć z ca-  
łym piekłem!.. Tak, on ją mieć musi, i mieć będzie!..

Ba! szeptał mu znowu za chwilę realny jego roz-  
sądek: „cóżby to było, gdybym się rzeczywiście „zła-

pał? Być może, że ten londyński świder nie nie wyswi-  
duje, a ja wziąłbym sobie ciężar do domu?.. Żona bez  
posagu—brrr!.. Sąsiedzi wysmialiby mnie, światby ca-  
ły sztychł ze mnie... a uścisk księcia Jerzego po  
szedłby wraz z obiadkiem u Marszałka tam gdzie  
pieprz rośnie!.. Nie głupim! Nie trzeba się zapędzać,  
aby się przed światem ubogą żoną nie skompromito-  
wać!.. Cóż to, czy nie jestem wart choć parę kro-  
sto tysięcy?... Julko wziął pół miliona, Bolko trzy  
wsie, Feadzio chapnie może kilka milionów... Tfel ja-  
kieby to głupstwo było, gdybym się dał złapać!..”

Pan Kryspin był teraz istnym męczennikiem swo-  
jój wyobraźni, swego serca i swego rozsądku. Jedno  
ciągnęło go w prawo, drugie w lewo. Szamotał się bie-  
dny, pocił się, ale na to tylko, aby zwyciężywszy z je-  
dnym, rozpocząć walkę z drugim...

To tylko podwajało jego gorączkę.

Być może, że w tej gorączce coś Maryi albo ciotci  
powiedział, albo przynajmniej dał do poznania, bo twa-  
rze ich, mimo jakiegoś ukrytego smutku, były rozrze-  
wnione i do niego uśmiechnięte...

Trzeciego dnia pobiegł pan Kryspin znowu na sta-  
cję i znowu zastał tam swego rywala.

Tego było już za wiele. Pan Kryspin uczył ude-  
rzenie do głowy. Włosy zajęły mu się płomieniem.  
Wtém... rozpoczął telegraf pukać... pukać od Bory-  
sławia...

Pan Kryspin cały czerwoną przyskoczył do tele-  
grafisty. Z drugiej strony wyczekujące stanowisko za-  
jął rywal...

Telegraf pukał i pukał...

Każde uderzenie uderzało w serce pana Kryspina...  
uderzało coraz bolesniej, coraz głębiej...

Wreszcie zaczął telegrafista odczytywać hieroglify  
i pisać niebieskim ołówkiem...

Pan Kryspin zaparł oddech i czytał przez plecy  
telegrafisty... wraz z rywalem.

„Michał do Weroniki... Stokrotne dzięki niebu! Bóg  
wysłuchał modłów moich!.. Jestem spokojny, szczę-  
śliwy! Nie każdy w nieszczęściu tak wygrywa... Wy-  
grałem! Trysnął obfity zdrój!..”

Pan Kryspin nie czekał dłużej. Słowa telegramu  
były jasne. Świder londyński dostał się do jeziora  
oleju...

Rozgorączkowana jego wyobraźnia trwożyła go  
rywalem... Rywal mógł go ubiedz... mógł mu z przed-

nosa pochwycić pannę... Marya... cóż Marya?... była kobietą i niczém więcéj! Mogła zapomnieć o nim i innemu oddać swoją rękę — i naftę!... A on ją w téj chwili tak kochał, kochał szczerze i serdecznie! Byłby nawet w piekło za nią skoczył, w gorejące jezioro nafty!.. tak ją kochał.. serce mówiło mu to wyraźnie...

I nie czekał końca telegramu, tylko chwycił kapelusz i pobiegł do dworku przedmiejskiego, aby jak najprędziej jeszcze przed telegramem złożyć u nóg Maryi i ciotuni całą swoją przyszłość, która w dalszém perspektywie obiecywała mu uścisk księcia Jerzego, obiadek u Marszałka i fotel koło pani Marszałkowej!..

Słodkie, rozkoszne marzenia biegły za nim, jak biały obłok pary za kominem lokomotywy!..

Tymczasem w przedmiejskim dworku było smutno, bardzo smutno.

Marya siedziała z zapłakanemi oczyma, a ciotunia trzymała w ręku list złowrogi, który wszystkie Hiobowe wieści potwierdził. List był od pana Michała.

Pan Michał pisał ten list w przystępie rozpacz. Kilka lat krwią serdeczną karmiona nadzieja zawiodła go. Świder angielski natrafił w głębokości kilkudziesięciu sążni na dnie studni na nieprzebitą opokę i złamał się. Wszystko było stracone! Pieniądze, majątek, wszystko!..

Nieszczęśliwy kopacz zadeklarował, że nadzieje jego skończyły się. Lichwiarz propinator wszedł w posiadanie majątku, a panu Michałowi pozostał — kij żebraczy!

Takie wiadomości zawierał list ojca Maryi. Sytuacja była jasna, wyklarowana. Marya nie miała ani szeląga posagu, tylko biednego rozpaczającego ojca.

— Z tą nadzieją urywają się wszystkie inne nasze nadzieje! westchnęła ciotka ocierając łzy.

— Czyż oprócz nadziei ojca mogliśmy mieć jakie inne nadzieje? zapytała przez łzy Marya.

— Myślałam o panu Kryspinie! dodała cicho ciotka. Marya westchnęła.

— Ucieknij, jak każdy inny uciekł, gdy się dowie że nafty w studniach nie ma! mówiła dalej ciotka.

Tacy to są mężczyźni dzisiaj! Kobieta u nich jest tylko dodatkiem! Pieniądze, posag, to grunt!

— Sameśmy temu winne, że oni są takimi — odszepnęła Marya, i spuściła głowę.

— Winne? A to jakim sposobem?

— Niech ciotunia tylko sobie przypomni, czyśmy nie rade przyjmowały u siebie takich, którzy nam się wydali majetniejszymi od tych, co już u nas bywali?

— Prawda, moje dziecko... ale któż nie życzy sobie lepszego losu?

— Otóż i im przysłuża także prawo tego lepszego losu.

Milczenie głębokie panowało czas długi. Ciotka wdychała, Marya ocierała łzy z oczu.

— Przecież co się tyczy pana Kryspina, to jeszcze rzecz nie stracona! ozwała się ciotka.

— Mam tym razem jakieś lepsze przeczucie, odpowiedziała Marya — ale przeczucia są zwodnicze!

— Oby tylko od razu nie dowiedział się o wszystkim!

— Przeciwnie, życzyłabym sobie tego bardzo. Mam nawet zamiar przy pierwszym widzeniu odsłonić mu całą naszą smutną sytuacją! Lepsze jednorazowe rozczarowanie, niżeli dłuższe łudzenie się!..

Ciotka zamilkła. Przy takim usposobieniu Maryi widziała wszystko stracone.

W téj chwili zapukał ktoś do drzwi. Wszedł — pan Kryspin.

Twarz pana Kryspina była zarumieniona, oczy pałały ogniem gorączkowym.

Ucałował rękę ciotuni po raz pierwszy i zostawił na niej — łzę gorącą!

Maryę powitał tylko ukłonem i długim, wymownym spojrzeniem...

Czémże w téj chwili była dla niego ta kobieta? Czy ją rzeczywiście tak gorąco, tak tragicznie kochał?

Gdyby w telegramie nie było słów: że „że trysnął obfity zdroj”, czy nerwy jego byłyby tak gorąco zagrały, że aż łza z oka wyciśnięta stała się jak kipiątek gorąca?..

Pan Kryspin nie myślał w téj chwili o tych słowach telegramu, ale myślał o Maryi, aby mu kto jój nie wziął! Wierzył w téj chwili, że Marya kocha, i strzelałby się z każdym beczelnym kłamcą, któryby w téj chwili śmiał go obwinąć o jaki interes pieniężny!..

Tak dziecinne jest czasem serce!..

Po tak niezwykłym przywitaniu ciotka i Marya oczekiwały czegoś niezwykłego.

Jakoż zaraz na wstępie zaczął pan Kryspin, ogładając się z trwogą na drzwi, czy fatalny lub raczej szczęśliwy telegram nie wyprzedzi słów jego oświadczenia!..

A o pośpiech chodziło mu bardzo. Czuł to nawet w téj chwili instynktowo, że oświadczenie się powinno przed telegramem nastąpić. Po telegramie miałoby zupełnie inne znaczenie. Możliwość go sumiennie posądzić o czysty materyalny interes. Powiedzianoby, że dla tego się oświadczył, że pewnie wytrysnął w postaci nafty posag miljonowy!.. A teraz... teraz, gdy nawet złowrogie wieści o bankructwie ojca Maryi mówią — teraz oświadczenie jego nabierze nawet pewnego uroku poetycznego, jeżeli już koniecznie do takiego aktu poezji potrzeba!..

Tak sobie myślał pan Kryspin, a patrząc trwożliwie na drzwi, zaczął:

— Wiem, że popełniam pewną niestosowność, mówiąc na raz przed panią dobrodziejką i przed panną Maryą o rzeczy, o której tylko naprzód z panią dobrodziejką pomówić miałem. Ale serce moje nie może dłużej zwlekać (tu pan Kryspin naprawdę poczuł łzy w oczach), nie może dłużej tańc tych słodkich marzeń, któremi przez kilka miesięcy karmiło się!.. Pannie Maryi wiadomo zapewne było, że...

Marya uczuła szybkie uderzenie serca. Twarz zarumieniała się rumieńcem. Położyła rękę na piersi aby wzruszone serce uspokoić i ozwała się:

— Przepraszam, że tutaj panu przerywam, ale prawdziwa życzliwość jaką mam dla pana nie pozwala mi przemilczeć..

Pan Kryspin myślał w téj chwili o rywalu. Myśl ta i obawa przed będącym już w drodze telegramem zamroziła mu krew w żyłach. Niebezpieczeństwo utraty Maryi żywo stanęło przed nim.

— Zostawiam pani wolny wyrok, chociaż ten wyrok stanowić może o całym życiu mojem... ale wprzódy dozwól mi pani łaskawego ucha, abym wypowiedział to wszystko, co mi serce powiedzieć każe.

— Lecz sumienie moje nie pozwala mi słuchać pana, nim...

— Wiem, mówił rozpaczliwie pan Kryspin, wiem, że nieba zawsze były dla mnie chmurne i nieubłaga-

ne, kiedy tylko żądałem choć jednego promyczka ciepłego słońca!.. Wiem...

— Są jednak w życiu sytuacje tak dziwnie skomplikowane... ozwała się ciotunia.

— Wszystko może się sprzyśnić na mnie, wszystko może stanąć w poprzek drogi mojej, to jednak nie uwalnia mnie od wypowiedzenia...

— Przecież nie chciałbyś pan przez nierozważne może słowo popaść w położenie, z którego odwrot byłby trudny i bolesny?—mówiła drżącym głosem Marya.

— Dla mnie odwrotu nie ma! Nigdy nie myślałem o tém, aby za sobą zostawiać wygodny most do cofania się. Brzydę się tymi ludźmi, którzy tak chłodno życiem rozporządzać umieją!

— Słowa pana, mówiła ciotka, zmuszają nas do wielkiego dla pana szacunku, ale oraz tém większe obowiązki nakładają na nas, abyśmy przed panem żadnej nie miały tajemnicy!

— Więc jest tajemnica? jakiej najbardziej obawiam się! wyjęknął pan Kryspin.

A w jego oczach zarysował się szczęśliwy rywal w jednej z najpiękniejszych ról swoich — bohatera — kochanka!.. Pan Kryspin gorzko żałował teraz, że ani razu nie występował publicznie w rolach takich! Byłby może lepiej wytrzymał krytykę od swego antagonisty!..

— Tajemnica, mówiła smutnie Marya, która może dziś jutro przestanie być tajemnicą.

— I pani sama mi o tém mówisz? krzyknął pan Kryspin i porwał się za głowę.

— Bo poczytuję to za najświętszy mój obowiązek.

— Serce—miłość—uczucia—obowiązki!

— Niech pan tylko nieco chłodniej na tę rzecz patrzy, panie Kryspinie, przerwała ciotunia.

— Jak można z zimną krwią patrzeć, namiętnie zawołał pan Kryspin, gdy ktoś, który bynajmniej na to sobie nie zasłużył, zgrabnym znalezieniem się wydziera mi to, co mi jest najdroższém...

Marya zarumieniła się i znowu rękę przyłożyła do serca.

Ciotunia zrozumiała trochę pana Kryspina.

— Pod tym względem, ozwała się z uśmiechem, mogę pana w mojem i mojej siostrzenicy imieniu zapewnić, że z tej strony żadne panu niebezpieczeństwo nie grozi.

Pan Kryspin odetchnął i otarł pot z czoła. Odetchnawszy głęboko zapytał:

— Zkądże więc może mi grozić to niebezpieczeństwo które wyraźnie czuję przez skórę?

— Niebezpieczeństwo dla siebie przeczuwasz pan słusznie, dla tego zwracam pana uwagę na to niebezpieczeństwo. Marzenia a rzeczywistość, to są dwa kontrasty! wyszepnęła Marya.

— I tego niebezpieczeństwa nie chcemy przed panem ukrywać, dodała ciotunia.

Pan Kryspin przybrał pozory głębokiego spokoju i czekał na dalsze słowa ciotuni.

— Zapewne panu wiadomo, zaczęła ciotunia, że ojciec Maryi wdawszy się w poszukiwanie nafty... Uśmiech nieznaczny przebiegł po twarzy szczęśliwego Kryspina. Wiadomości ciotuni były już przedawnione; on posiadał najświeższe... a te nie tylko że nie kazały się niczego obawiać, ale owszem obiecywały przyszłość tak różową, jaką tylko sobie wymarzyć można!..

Potrzeba jednak było aby pan Kryspin z tém się nie zdradził.

— Słowa pani dobrodziejki, rzekł z nieznacznym

uśmiechem, mogą mieć grunt bardzo szlachetny, ale dla mnie, przynajmniej w tej chwili, są one zbyt bezużyteczne. Uczucia mego nigdy nie mieszam z rzeczami podrzędnymi. Gdybym był zupełnie ubogim, możebym dla samego obowiązku sumienia poruszył, przed ostatecznym słowem, majątkową sprawę jednej i drugiej strony, bo bez takiej trzeźwości w zapatrywaniu się na życie nie pojmuję miłości!.. Ale ja dzięki Bogu mam przynajmniej tyle, ile na konieczne potrzeby życia wystarczyć może. Przeto wolno mi pominąć milczeniem materialne położenie drugiej strony, aby jakaś możliwa tam plamka nie psuła mi blasku tego pogodnego słońca, przed którym w tej chwili ukłękam!..

Mimo tej tak widocznej deklamacji, uczyła Marya gwałtowne drżenie serca, bo nie miała powodu słowom pana Kryspina nie wierzyć. Jej sytuacja była jasna, pan Kryspin widocznie wiedział o niej, i jakież więc mogły mieć powód mówienia tych słów na wiatr, jeśli te słowa obowiązywać go musiały? Czyż tak piękne uczucie nie wymaga już samo przez się wzajemności?..

Ciotunia rozczuliła się tak szlachetnym sercem pana Kryspina, zapłakała, a ucałowawszy go w głowę rzekła do niego:

— Zaczny panie Kryspinie! Szlachetne twoje serce wyciska mi łzy z oczu. Śród nieszczęścia naszego jesteś dla nas ową gwiazdą, która śród burzy wróży nam niedaleką pogodę. Niech cię Bóg za to wynagrodzi takim szczęściem, na jakieś sobie zasłużył!.. Już w tych dniach domyślałam się twego postanowienia. Pisałam w tym względzie do mego brata i spodziewam się dziś jutro od niego pełnomocnictwa co do Maryi. Mogę jednak z czystym sumieniem je uprzędzić i w tej chwili imieniem ojca pobłogosławić was!

Pan Kryspin rozczulił się na wstąpienie — bohaterem, bo zdawało mu się, że odniósł wielkie, niespodziewane nawet zwycięstwo!..

Zwycięstwo pana Kryspina było wprawdzie wielkie, bo Marya warta była zwycięstwa, ale nie było ono tego rodzaju, o jakim w tej chwili marzył pan Kryspin.

Podobny on był w tej chwili nieco do Donkiszota, któremu w gorącej walce z wiatrakami zdawało się, że pokonywa zaciętego nieprzyjaciela.

I panu Kryspinowi zdawało się, że odniósł walne zwycięstwo nad swoim rywalem, który jego marzeniom tak uporczywie zagrażał. Wierzył, że śmiałym atakiem wydarł mu szczęście i sobie przywłaszczył. Podziwiał swoją zręczność w szybkim skorzystaniu z telegramu, i nadał się dumą, jak wódz po walnej, historycznej bitwie.

Teraz już nic nie groziło jego ostatecznym marzeniom. Z piękną rączką Maryi posiadał miliony w płynnym stanie; z milionami będzie miał estymę najpierwszych powiatu bohaterów, będzie miał uścisk księcia Jerzego, obiadek u Marszałka, i fotel obok fotelu pani Marszałkowej! Ileż to szczęścia, ileż słodyczy w tych marzeniach!

Czyż przez to wszystko nie stanie się znacznym w całym powiecie?

Myśli te i marzenia oszołomiły go. Nic już nie widział przed sobą i nie słyszał. Ucha jego nie dotykały żadne słowa, któreby go z tych marzeń wyrwały mogły!..

Cały wieczór tego szczęśliwego dnia przepędził w

dworku przedmiejskim. Patrzył szczęśliwy w rozjaśnione oczy Maryi, i po każdej sekundzie takiego patrzenia stawał się lepszym, szlachetniejszym. Uwierzył nawet że jest rzeczywiście bardzo szlachetnym, i mógłby nawet dać tego dowody, gdyby potrzeba było...

Telegram był już w takim razie dla niego rzeczą mało ważną. Wiedział ogólną treść jego, o więcej dzisiaj mu nie chodziło. Nawet gdy nadszedł, nie pytał o niego, bo wypogodzone twarze kobiet były dla niego dowodem, że telegram miał dla nich to samo szczęście, jakie on wprzód z niego wyczytał. Wypadało mu nawet nie wiedzieć w obec kobiet o jego treści.

Rozmarnony i aż do zbytku szczęśliwy odjechał pan Kryspin późną nocą do Przysiółka. W Przysiółku dwóch ludzi jeszcze nie spało. Jednym był arendarz, drugim ekonom. Obaj otrzymali od niego serdeczny uścisk, a potem jednemu i drugiemu szepnął na ucho, że się żeni, i że bierze miliony w posag!...

Po tym uścisku położył się do łóżka, i śniło mu się, że książę Jerzy za rękę go ściska, Marszałek pije jego zdrowie, a pani Marszałkowa nawet zalotnie uśmiecha się do niego!

— Mój Boże! pomyślał sobie gdy się obudził, jak to człowieka zaraz inaczej traktują, jeżeli się bogato ożeni! Pieniądże, pieniądże, majątek przedewszystkiem! Bez tego nie ma estymy, ani znaczenia u swoich!...

Pan Kryspin wzięł sen za rzeczywistość!

Nazajutrz przed południem pojechał pan Kryspin do miasta.

I rzecz dziwna—sen jego spełnił się.

Był to dzień targowy, a w tym dniu przyjeżdżała okoliczna szlachta do miasta, aby przy interesach gospodarskich także coś z sobą pogadać. W dniu tym raczył zazwyczaj marszałek powiatowy zgromadzonych u siebie obiadem, do którego pan Kryspin już dawno wzdychał.

Dzisiaj marzenia jego miały się stać rzeczywistością.

Zaledwie bowiem na rynku miasta się ukazał, przystąpił do niego książę Jerzy, i w obec całego miasta podał mu rękę i serdecznie uściaskał.

— Przyjmij pan najserdeczniejsze moje życzenia! rzekł do niego z dobroliwym uśmiechem. W naszym powiecie, jak widzicie, nic się długo nie ukryje, a przynajmniej tak szlachetne i piękne zamiary, jakie pan powziął i one już interesowanym osobom sformułowałeś. Zaczny pan Michał wart był tego szczęścia, które pan jemu, a przez niego nam wszystkim zgotowałeś!... Zaczni, szlachetni ludzie są dzisiaj coraz większą rzadkością!

— Czybyś pan nie raczył dzisiaj zjeść u mnie obiadku? ozwał się z poza ramion księcia sędziwy marszałek — postaram się, abyś pan nie był sam jeden — to jest—bez panny Maryi!

Pan Kryspin wydał piers jak bohater Szekspira i pomyślał sobie w duchu:

— Co to znaczy mieć miliony! Widać już wiedzą o telegramie i czapkują przed milionerem! Tak to tak! Pieniądże, pieniądże wszystkiem!

I obejrawszy się po rynku, czy wielu ludzi patrzy na niego, odpowiedział księciu i marszałkowi:

— Zaiste wielki splendor spada na mnie maluczkiego, jeśli takie persony powiatowe w ten sposób odzywają się do mnie. Nie przypisuję ja tego splendoru ani sobie ani cichym uczynkom moim, ale Panu Bogu,

który często nawet niezasłużonym wielkie łaski wyświadcza!... Na obiadek pośpieszę, a tymczasem, nim na inną odpowiedź stać mnie będzie, serdecznie za okazany mi afekt dziękuję. Dzień ten będzie pamiętny w życiu mojem!

Po księciu i marszałku cisnęli się do szczęśliwego Kryspina ci wszyscy, u których te dwie wybitne postacie powiatowe wyrocznią były. Jaki taki ściskał i całował się z panem Kryspinem, chociaż dawniej i patrzeć nie chciał na chudeusza!

— To wszystko robi moje bogate ożenienie się, mówił do siebie w duchu pan Kryspin, i głaskał swoje szczęśliwe bakenbardy—to wszystko robią miliony! Miło jest przecież z tém!...

I któż był w tej chwili szczęśliwszym od pana Kryspina?...

Za kilka godzin dobrane towarzystwo siedziało u marszałka za stołem.

Pan Kryspin siedział między panią marszałkową a swoją narzeczoną.

Marya wyglądała bardzo pięknie. Twarz jej była trochę blada, jak zwykle po każdym większym wzruszeniu, oczy za to gorzały jakimś dziwnym ogniem bengalskim.

Pani marszałkowa rozmawiała z uśmiechem z panem Kryspinem, a często powiedziała jakie słodkie słówko Maryi, która się wtedy rumieniła.

Książę Jerzy siedział naprzeciw pana Kryspina i całą swoją uwagę poświęcał nadobnej parze. Rozmawiał, żartował, i cały swój książęcy splendor na nich przelał.

Pan Kryspin był w siódmym niebie. Marzenia jego przewyższały rzeczywistość... i za szczęście takie dziękował zawsze w duchu swoim mniemanym—milionom!

Ku końcowi obiadu wzniosł Marszałek, za porozumieniem się z Księciem, toast następujący:

— Mości panowie! Ludzie starsi oskarżają dzisiejsze czasy o niskie dążności realistyczne. Mianowicie na ławie oskarżonych zasiada młode nasze pokolenie! Powiadają, że ono wyrzekło się dawnych naszych idealniejszych dążności, że wierzy jedynie w mamonę i za nią różnemi, często nawet niemoralnemi, drogami dąży! Ztąd upadek w społeczeństwie, zgnilizna, zastój! Mości panowie! Może w tém być coś prawdy, ale tém jaśniej przyswiecać nam powinny wyjątki od tego powszechnego zepsucia cnót i obyczajów!... Otóż taki wyjątek mamy właśnie przed sobą!... Imć pan Kryspin, człowiek skromnej fortuny, zamiast lekkomyślnemi środkami gonąć za jaką panną posażną, jak to jest u nas chorobą—łączy się ślubem dobrowolnym z córką znanego powszechnie człowieka, w chwili, gdy tenże zbiegiem niefortunnych okoliczności całą swoją fortunę traci!...

Mości panowie! Rzadki ten wzór godny jest rozgłosu i naszego szacunku! Niech żyje!

Wszyscy podnieśli się i z entuzjazmem stuknęli koleją w kieliszek pana Kryspina.

Pan Kryspin nie wiedział co się z nim dzieje... nie mógł dobrze zrozumieć tego toastu; był więcć autotatem w tej chwili, niżeli żyjącym człowiekiem...

Z kolei podniósł się Książę i zawołał z kieliszkiem w ręku:

— Panowie! Praca i oszczędność rodzą miliony — próżniactwo i lekkomyślność pożera je! Kto skromny plan życia sobie nakreśla, ten daje rękojmię, że go wkrótce rozszerzy. Kto zaś odrazu bez pracy za mi

lionem goni—ten przetraci tysiące i zginie w nędzy!... Panowie wnoszą zdrowie pana Kryspina, który skromną pracą ma odszukać to, co niefortunnym zbieraniem okoliczności utracił pan Michał! Cześć mu!

Znowu stuknięto w kieliszki — pan Kryspin ciągle był automatem.

Po obiedzie pomieszało się całe grono biesiadników. Wszyscy przychodzili do pana Kryspina, ściskali mu ręce, całowali go. Pan Kryspin był jeszcze bez zmysłów.

Po jakimś czasie zaczęto z nim mówić o szczegółach nieszczęścia pana Michała. Ubolewano nad tym nieszczęściem i pocieszano go.

Pan Kryspin zaczął coś pojmować, ale oraz zaczął i blednąć...

Za godzinę wiedział już o wszystkim — i był błąd jak trup...

Pod pozorem lekkiej niedyspozycji z powodu tak wielkich wrażeń, wyszedł z sali, wsiadł na wózek i prosto pojechał—do Przysiołka.

W Przysiołku choć ujrzał arendarza i ekonomę, nie do nich nie powiedział, tylko czem prędzej wpadł do pokoju i klucz za sobą dwa razy obrócił.

Teraz, gdy go już nikt nie widział, padł jak nieżywy na krzesło, zakrył twarz rękoma i zaczął... płakać, rzewnie płakać!

— Żona bez posagu!.. brrr! „Złapał się”... brrr! szeptało mu coś ustawicznie do ucha. Potem zerwał się i zaczął szybko chodzić po pokoju.

Mózg palił się pod czaszką i wyrzucał mu przed duszę same piekielne, płomienne obrazy!..

— Oszukać się, tak szkaradnie oszukać się—to zbrodnia!.. to więcej niżeli zbrodnia!.. to samobójstwo!.. Nie, tej hańby nie można przeżyć!.. Utopić się... zastrzelić... lub... w Homburgu zgrać się do koszuli!.. Przebrać Przysiołek! lub wygrać milion... bimiljon!..

Takie dziwne myśli biegały Kryspinowi po głowie. Łamał ręce, aż wszystkie stawy trzeszczały, i rwał włosy z głowy!..

Już dzień świtał na niebie, gdy rzucił się nierozebrany na łóżko.

Spał długo i spokojnie. Śnił o Maryi, o jej pięknych oczach, widział łyzy w tych oczach!.. Śnił o obiadku u marszałka i o toaście księcia!.. śnił długo i rozkosznie!..

Jasne słońce zbudziło go. Przetarł oczy i usiadł na łóżku.

Siedział tak długo, bardzo długo!.. Potem wstał, rozsmiał się i rzekł do siebie:

— I czegoż ja tak rozpaczam? I czegoż właściwie ja pragnę? Pragnąłem milionów, bo zdawało mi się, że tylko miliony mogą mnie znaczniejszym zrobić w powiecie. Mniemałem, że tylko one mogą mnie doprowadzić do uścisku Księcia i na obiadek Marszałka!.. Tymczasem okazało się, że i inne drogi mogą tam także zaprowadzić — i rzeczywiście zaprowadziły mnie! Sciskałem się z księciem Jerzym, jadłem obiad u Marszałka!.. za co?... Oto za to poprostu, że wzięto mnie za poczciwego i szlachetnego człowieka!..

... Jeżeliż więc szlachetność, zacność i poczciwość tam także zaprowadzić mogą, gdzie może niezawsze prowadzą miliony!.. pocóż więc porzucać te piękne przymioty, jeśli one miliony nam zastąpią?..

... A jeżeli jeszcze do tych przymiotów dodać pracę i oszczędność, to kto wie czy nie przyłączą się

jeszcze do nich, jeśli nie miliony, to przynajmniej dostateczne tysiące?..

... Czemuż tak zbladłem wczoraj?... Oto ludzie narzucili mi taką sporą porcję szlachetności i zacności, że się ugiął pod tym ciężarem!..

... Czyż miałbym na prawdę być tak słabym?..

... Nie!.. co opinia publiczna dobrego daje, to trzeba umieć przyjąć i dźwigać z godnością. Lepszy zawsze ten ciężar od błota, którym nas niekiedy obryzga!

... Cóż robić? Trzeba jej być posłusznym!

Rzekłszy to, wstał pan Kryspin i kazał zaprzęgać.

— Gdzie pojedziemy? zapytał niespokojnie służący.

— Cóż to? Czyś pamięć stracił?... Tam gdzie zawsze! Do dworku na przedmieściu!

Za godzinę stał pan Kryspin w dworku przedmiejskim i trzymał za rękę Maryę, która łyzy wzruszenia z oczu ocierała.

Przed Maryą na stoliku leżały listy i telegramy.

Pan Kryspin przypomniał sobie ów niedokończony telegram, który mu tyle wyrządził strachu i kłopotów, ale wraz z kłopotami przyniósł mu także złote runo szczęścia!.. Nadewszystko przyszło mu na myśl, co to był za obfity źródło, który wytrysnął.

Sięgnął więc jakoby od niechcenia po leżący na stole telegram.

Maryja podała mu go sama, oczy jej roziskrzyły się.

— Telegram ten, ozwała się ściskając narzeczonego za rękę, zachowam jako drogą pamiątkę, bo on mi przypomina dzień, od którego poczyna się szczęście moje.

Pan Kryspin czytał: „.....trysnął obfity źródło łez z oczu moich, a łyzy te były modlitwą dziękczynną do Boga, że do samej przepaści nieszczęścia mego przysłał mi szlachetnego człowieka, który jedyne dziecię moje chce uszczęśliwić!.. Naprzód daję moje błogosławieństwo!..”

Maryja razem z narzeczoną czytała!.. przy końcu napełniły się łzami jej oczy — spójrzała przez łyzy na niego.

A pan Kryspin w tej chwili podniósł pierś i napełnił ją uczuciem „człowieka szlachetnego”, jak go w telegramie nazwano!..

I było mu z tym uczuciem bardzo dobrze!.. daleko lepiej i miliej, niżeli w angielskim karyklu zaprzężonym tarantami!..

..... \* \* \*

Za kilka lat widziałem go, jak z gęstą miną przechadzał się po rynku miasta powiatowego. Szlachta sciskała się z nim serdecznie, książe Jerzy w pół go obejmował, a nowy marszałek uprzejmie zapraszał na obiady.

— Widzę, rzekłem do znajomego, że ten człowieczek wyrósł u was na bohatera.

— Zasłużył na to,—odpowiedział mi do ucha znajomy; jest pracowity, oszczędny, a nawet... czyta książki!

— Czyta książki! i to w waszym powiecie! krzyknąłem z radości.

— Już to żona—mówiąc między nami — najwięcej przyczyniła się do tego.

— Żona?

— Tak, żona. Przysłowie mówi: Rządna i dobra żona, to trzy węgly domu.

Znajomy mój odszedł, a ja myślałem długo, długo, nad nowym bohaterem powiatu!..

Sądzę, że i piękne czytelniczki, a może i młodzie czytelnicy, trochę nad tém pomyśla!... Jak również chciałbym, by też i tacy Książęta i Marszałkowie z imaginacyi autora weszli w życie rzeczywiste! A wtedy może, da Bóg, więcej będzie takich Kryspinów, którzyby nawet po całkowitem przeczytaniu podobnego telegramu nie postąpili inaczej.

## STANOWISKO PRAKTYCZNE DAWNYCH NIEWIAST.

PRZEZ

Wł. Chomętowskiego.

(Ciąg dalszy).

Toż samo syn młodszy w liście swym żali się na nieuczciwość osoby, która ich obmówiła przed matką. Atoli pani B. L. niezadowolona była z guwenera, powątpiewając o postępach naukowych synów, pomimo niepomienych wydatków. Zarekommendowano jej niejakiego Boudet rodem francuza, ale znającego dobrze język polski i obyczaj nasz. Ten zobowiązał się opętać koszt utrzymania synów za 24,000 złot. rocznie w Paryżu, dokąd udali się w końcu 1683 roku. Tu umieszczeni zostali w akademii Bernarda. W raporcie guwenera wyczytujemy o edukacyi młodych starostów szczegóły następujące: „Naprzód pierwsze exercycyum na koniu jeźdźenie, co odprawuje się zrana, po wysłuchaniu Mszy Świętej aż do samej dwunastej, tylko Imć pan Starosta Kazimierski (Jerzy Dominik Lubomirski) ma swoje godziny do retoryki przed obiadem, zaś po obiedzie następuje fechtowanie, potem matematyka, później taniec, to wszystko bierze czasu aż do wieczora. Do tych wszystkich nauk mają panowie Starostowie godnych kawalerów w kompanii, bo jest kilku książąt, drudzy niemal wszyscy *comites*. Dnia wczorajszego mieli panowie starostowie wielkie exercycyum; jest pewny plac za miastem, który umyślnie Król kazał zostawić, na którym placu zbudowano fortecę regularną, jak być powinna; tej tedy fortecy dobywali wszyscy kawalerowie, którzy są w akademii trybem wojennym, dla tego żeby się młodzi ludzie wprawiali do wojny; byli też i panowie Starostowie w tej potrzebie i dobywali fortecę, i tam przypatrzili się Ichmość, temu czego się uczą na papierze“.

W innym liście donosi guwener, że uczniowie po ukończeniu lekcyi w akademii Bernarda, która ma być najcelniejszą w Paryżu, poświęcają resztę czasu na czytanie i zabawę. Młodszy Jerzy Dominik po ukończeniu retoryki przeszedł na kurs filozofii, starszy zaś Franciszek odbył poprzednio w Krakowie studia retoryki i filozofii, zatem pozostawał z bratem za granicą dla wyćwiczenia się w sztuce wojskowej, w językach, nakoniec dla przypatrzania się osobliwościom zagranicznych stolic i dla zawiązania stosunków. Prezentowanie synów magnackich królowi w Wersalu, należało do dobrego tonu, więc też wkrótce po przyjeździe do Paryża, margrabia Bethune przedstawiał młodych Lubomirskich swemu monarsze.

W ciągu dwuletniego pobytu w stolicy Francyi, ukończyli synowie pani B. L. studia w akademii Bernarda. Guwener zadowolony był najzupełniej z ich postępu w naukach, i zapewniał matkę, że wszystko co jej donoszono na niekorzyść synów, jest najzupełniejszym fałszem. Zdaje się że przyczyną nieporozumienia i owych wieści była kłótnia, guwenera Boude-

ta z polakami, którzy znajdowali się w orszaku młodych magnatów. Było to przed wyjazdem ich z Paryża do Rzymu. Donosi guwener o swych zażęciach z temi panami, przyczem nadmieniam: strzeż Boże, gdyby się był jeden drugiego tknął, musielibyśmy odstąpić i porzucić samych panów starostów, niedosiadając we Francyi, bo tu takie prawo, że gdy się kto bije i pojedynkuje, gardłem karzą, samemu synowi swemu nie przepuściłby król francuzki. Zaczem aby ująć takich przypadków, zostawiliśmy ich w Paryżu, sami zaś dalszą szczęśliwie odprawowaliśmy peregrynacyą, i da Bóg wkrótce ku pociesze Wmpani staniemy w Polsce. A że tam niektórzy Imcipanowie polacy powracający z Paryża do Polski, nie dobrze informowali wm. miłościwą panią, iż panowie starostowie nie wiele się w Paryżu nauczyli, a ja tak powiadam, żeby im się dziesięć lat od moich Ichmościów uczyć tego co umieją.”

List ten pisany z Rzymu, który był ostatecznym kresem podróży młodych Lubomirskich.

Zauważymy tu, że pomimo najtroskliwszej pieczołowitości matek o los synów, nie zawsze praca ich pożądanym uwieńczona skutkiem. Wychowanie zagranicze niweczyło częstokroć najlepsze zasady, zaszczerpione w sercach dzieci. Szczególnie w pierwszej połowie wieku XVIII-go, pobyt długi za granicą kraju wpływał niekorzystnie na obyczaje młodzieży. Przesadzone, skrzywione wyobrażenia o honorze, lekkomyślność w połączeniu z egzaltacyą romansową, owe ujemne cechy wieku, uwydatniały się najmocniej na tle wrażliwych, młodzieńczych umysłów. Ztąd w końcu XVII i w XVIII wieku synowie naszych panów, wychowani w Paryżu lub w Nancy, odznaczają się częstokroć wyłączną cechą, w której jaskrawo odbija nowa barwa francuzkiego obyczaju, na tle dawnych, wyssanych z mlekiem wyobrażeń i nawyknień. Taką dziwną mieszaninę widzimy w charakterze księcia Udalryka. W pismach mowach politycznej treści, nie różni się on w niczem prawie od najgorliwszych szermierzy z epoki rokoshu Zebrzydowskiego. W sferze uczuciowej czyli sentymentalnej jest on rzeczywistym bohaterem francuzkiego romansu, jak np. w wyrażeniach do pani swych myśli, zapewne w epoce owdowienia i nowych konkurów: „L'amour entreprenant, qui a sur la beauté son empire, j'espere ne m'abandonera point dans vos graces. Si mes expressions echappent licencieusement, pardonnez ma très-aimable Comtesse a mes passions, qui n'ont point des bornes, car vous êtes mon vainqueur, et moi votre esclave Non, je ne part pas de chez vous pour faire naufrage, mais au retour l'esperance me sera si favorable, quelle calmera ces ondes furieuses, pour en faire la conquete” etc.

Zaważyliśmy wyżej że księżna B. L. bolała wielce nad lekkomyślnością syna. Jakkolwiek sama odebrała wychowanie w połowie francuzkie, przywiązana całą duszą do dawnych form społecznych, rada była widzieć też same przymioty w synu, ale w połączeniu z dojrzałym rozumem umiarkowaniem. Zawiodła się tem boleśniej w swych oczekiwaniach, że Udalryk najwięcej, okazywał zdolności z całego rodzeństwa. W istocie lubił nauki i uczonych. Korrespondował z Wawrzyńcem Mintzlerem de Kolof doktorem i literatem; dopomagał temuż do wydawnictwa dzieł historycznych. Zdaje się, że historia panowania Kazimierza przez Rudawskiego, wydana została z rękopismu jego nakładem. Ciekawy jest list Mitzlera, w którym przyznaje się z wielką naiwnością, że w dziele swem „acta literaria” zamieszcil fałszywą wiadomość o 26 dzie-

łach, podanych przez Jabłonowskiego, ze względu że tenże opłacił kosztą druku.

Wracając się do matki księcia Udalryka, powiemy, że zacna niewiasta nie opuściła do ostatniej chwili swego praktycznego stanowiska.

W późnym wieku zarządzała majątkiem i różlicznymi kierowała interesami. W sprawie granicznej z ordynacją Ostrogską sama wyszukiwała i przywodziła dawne dokumenta, które chroniły się w porządnie utrzymywanym przez nią archiwum.

W ogóle, jak powiedzieliśmy wyżej, nie brak w wieku XVIII-ym na niewiastach, które się stawiać mogą zawsze, jako wzory godne do naśladowania, na polu praktycznej działalności, w obszernym zakresie domowego zarządu i gospodarstwa.

Zastanawiając się nad praktycznością dawniej niewiasty polskiej, nie możemy pominąć obyczajowych stosunków, w kole których rozwijała się jej działalność.

Niewiasty, mianowicie wdowy po śmierci mężów, musiały częstokroć bronić energicznie własnej spuścizny lub nieletnich dzieci, przeciwko napaściom opiekunów lub krewnych. Spadkobierczynie mniejszej lub większej fortuny, przygotowane były do odparcia najazdów, które praktykowały się zarówno w XVI, XVII jako i XVIII wieku. Zajężdżali dobra opiekunowie pod pozorem zabezpieczenia ich całości, lub krewni występujący z rozmaitemi roszczeniami, z okoliczności niedokonanych lub zakwestyonowanych działów. Wchodziły w rachubę tych zatargów, nieprzyjazne usposobienia domów współzawodniczących na polu spraw publicznych. Głośny tego rodzaju wypadek zdarzył się w Warszawie w 1745 roku po śmierci Teodora Lubomirskiego. Było to w rok po tragicznym skonie Adama Tarły Wojewody Lubelskiego. Dla dopełnienia i objaśnienia szczegółów dalszego opowiadania, musimy rzucić okiem na poprzedzające okoliczności i zdarzenia.

Jan Tarło Wojewoda Sandomierski i syn Adam należeli do stronnictwa, którem sterowali Potocy. Tarło (ojciec) był wujem Antoniego i Franciszka Lubomirskich synów Jerzego Dominika i zajmował się wychowaniem Franciszka.

Ztąd Tarłowie posiadali wpływy w rodzinie Lubomirskich i od pewnego czasu żyli w ścisłej zażyłości z Teodorem. Na czele przeciwnego obozu stał obecnie książę August C. Wojewoda, ożeniony przed kilkunastu laty z wdową po Denhofie Zofią z Sieniawskich. Rozciągał on opiekę nad wdową po Józefie Lubomirskim i nad jego synami Stanisławem i Antonim.

Tarłowie najniebezpieczniejszymi byli przeciwnikami ks. Wojewody i Poniatowskich. W rodzinie tych ostatnich niepoślednią grała rolę siostra księcia Augusta, Konstancya, małżonka Stanisława Poniatowskiego Wojewody Mazowieckiego. Jan Tarło i syn jego Adam słynęli z wielkiej popularności, zarówno w wyższej jako też w niższej warstwie społeczeństwa. Drażnił księcia wojewodę i panią Poniatowską przyjazny stosunek Tarłów z Teodorem Lubomirskim Wojewodą Krakowskim. Teodor był synem Stanisława Marszałka W. Kor. zatem wujem księżny Augustowej z domu Sieniawskiej. Dziedzic Czerniakowa i Ujazdowa, pan ogromnej fortuny, Teodor nader burzliwie spędził młodość w awanturniczych romansowych przygodach i w partyzanckich walkach, w czasie wojny domowej, w początkach panowania Augusta II. Już w niemłodym wieku pokochał się w mieszczańce krakowskiej Krystynie Kominżance i z nią się ożenił. Owocem tego

małżeństwa był syn Kacper i córka Anna, słynna z niepospolitej urody. Owóż osmnastoletnia wojewodzianka krakowska ściągała do domu ojca wielu wielbicieli, pomiędzy którymi wymieniano Adama Tarłę Wojewodę Lubelskiego. Powiemy nawiasem, że były to czasy wielkiej płochości w obyczaju. W zamożniejszych zwłaszcza domach rozwody były na porządku dziennym. Uprawdzano żony od mężów i córki z domu rodziców. W 1748 roku, w jednej okolicy Wołyń, zauważano, że z sześciu domów szlacheckich wykradzono panny.

Adam Tarło ożeniony był z krewną, osobą już niemłodą, Dorotą z Tarłów Chomętowską wdową po hetmanie. Owóż względy okazywane przez niego córce Teodora Lubomirskiego ściągnęły baczność pań warszawskich, i stały się powodem wielu domysłów i opowieści. W dniu 26 Lipca 1743 roku, znalazł się Adam Tarło na balu w towarzystwie Teodora Lubomirskiego i jego córki. W gronie zaproszonych gości uważano Konstancję Poniatowską z córką Izabellą i synem Kazimierzem. Tarło rozpoczął tańce z Anną Lubomirską. Ubodło to mocno panią Wojewodzinę Mazowiecką, która przywykła widzieć w Tarłach nieprzejdanych wrogów całej rodziny. Zaleciła zatem córce, aby nie ważyła się tańczyć z Wojewodą Lubelskim. Owóż kiedy tenże zbliżył się do Izabelli Poniatowskiej, otrzymał odpowiedź: „Z kimes Wpan tańczył pierwszy taniec z tą tańcz i drugi.” Tknięty do żywego Tarło, rzekł zwracając się do obecnych: „będę go miał za sze... kto z wojewodzianką pójdzie w taniec”. Rozgniewana matka Izabelli rozkazała niebawem synowi, ażeby wziął siostrę do tańca. Wtedy wojewoda Lubelski popierając poprzednie wyzwanie, zawołał: „otóż jesteś sze...”

Nie będziemy powtarzać znanych szczegółów pojedynku, w którym zginął Adam Tarło. Powiemy tylko, że fatalna ta okoliczność zaostrzyła nienawiść współzawodniczących rodzin. Owóż kiedy w dniu 6 Lutego 1745 roku umarł nagle Teodor Lubomirski, widzimy występujących w charakterze opiekunów rodziny zmarłego wojewody, dwóch nieprzejdanych wrogów: Księcia Augusta C. i Jana Tarłę. Pierwszy stawiał się natychmiast po zejściu Teodora w pałacu jego w Ujazdowie; w imieniu drugiego stanął przyjaciel jego książdz Stanisław Konarski, którego własnoręczną relację podajemy w niniejszej treści.

Opieka księcia Augusta niefortunna była dla wdowy wojewodziny krakowskiej. Napomknęliśmy już bowiem, że rozciągał on opiekę nad wojewodzicami Czernichowskimi Stanisławem i Antonim Lubomirskimi, ci zaś rościli pretensje o dział spadkowy po śmierci Franciszka Lubomirskiego, który niegdyś w młodych latach zabił się w Łańcucie, z niewiadomego nam wypadku.

Owóż wraz z ks. Wojewodą przybyła do Ujazdowa Wojewodzina Czernichowska wdowa, matka młodych Lubomirskich. Ze strony Krystyny Lubomirskiej uważano Potockę marszałkową koronną, Hinerę Rezydentę cesarskiego z córkami, pomienionego ks. Stanisława Konarskiego pijara, prócz wielu innych panów i pań. Przybył też i książę August w nader licznym orszaku, który zamykał przyszły zięć jego Stanisław Lubomirski, synowiec zmarłego Teodora. Z urzędu znajdował się w tém zebraniu Puławski sędzia warszawski. Zachowano pozory zwyczajnej w takich razach uprzejmości i oświadczone kondolencje wdowie. Wszyscy goście nocowali w Ujazdowie. Nazajutrz oświadczyła wdowa ks. Wojewodzie, że pokłada zaufanie w jego

prawości i cieszy się, że on głównym obrany został opiekunem. Książę August w odpowiedzi na ten komplement, zażądał okazania niezwłocznie testamentu. Zagadniona tak niespodzianie Krystyna odrzekła, że potrzebuje dłuższego czasu do odszukania żadanego dokumentu, pomiędzy stosami papierów męża. Otrzymawszy niezadawalną odpowiedź, ks. Wojewoda w najostrzejszych słowach ją wyrzucać wdowie, że nie posiada żadnej własności, więc może ogołocić syna, nadto, że majątek nieboszczyka w pieniądzech i kosztownościach nie jest w jej rękach bezpieczny, zważywszy, że może wyjechać za granicę i wywieść wszystko i t. d.

Krystyna szlochała i załamywała ręce, tłumacząc się że nie wie, w którym miejscu złożony jest testament, zatem wyrzucała nawzajem Wojewodzie, że nie baczny na stan jej wdowi, na ciężki żal i słabość. Ale Wojewoda nie zważał na płacz i przełożenia, zatem rzecz swą skończył pogroźką: „Nie darmom tu przyszedł, nie darmo zjadł wyjdę. Jeżeli wspani dobrowolnie nie dasz, gwałtem i testament znajdę i zabrać wszystko każę. Masz wspani półgodziny czasu na refleksyę”.

Wtedy zbliżył się ks. Stanisław Konarski i oświadczył, że postara się o wyszukanie testamentu, z warunkiem, że po odczytaniu będzie zwrócony. Zgodził się na to książę August. Więc przystąpiono do poszukiwań, zatem wkrótce znaleziono testament Teodora roborowany w metryce koronnej. Przekonano się, że nieboszczyk pozostawił znaczny kapitał przeszło 90,000 czerwonych złotych, nadto, że wdowa nader hojnie ma zapewnione dożywocie. Treść testamentu a nadewszystko bogate uposażenie wdowy, było niespodzianką dla ks. Wojewody. Złożył dokument w ręce księdza Konarskiego, ale natychmiast zwrócił się do Krystyny z żądaniem, aby wydała sumę 90,000 czerw. zł. i klejnoty, które popieczętuje i w bezpiecznym złożym miejscu. Kiedy zaś oparła się wdowa i przedstawiała swe racje, odrzekł Wojewoda tręściwie i groźnie: „Tak chcę koniecznie i wezmę gwałtem, jeśli nie wydadcie dobrowolnie“. Napróżno płakała i wyrzekała Krystyna na niesprawiedliwość i gwałt w jej własnym wyrządzonym domu, w przytomności zwłok niedawno zgasłego męża. Książę Wojewoda, Generał gwardyi wydał rozkaz, aby gwardya koronna przybyła dla atakowania Ujazdowa.

Usłyszawszy to Krystyna, postanowiła bronić się do ostatka a nieustępować przed natarczywością i gwałtem Wojewody. Syn jej Kacper kazał zatarasować bramy i sprowadził na dół milicję nadworną. Probowano ze strony księcia Augusta przekupić oficera Ujazdowskiego, majora Szanfelda, przyrzekając mu majorostwo gwardyi i 400 czerwonych złotych. Traktowano również z żołnierzami, ale ci nie uwiedli się pokusą, odparli z oburzeniem propozycję, zatem zniewolili oficera, aby udał się do księżny i przysiągł w ich wszystkich imieniu, że nie odstąpi pani swęj i syna jej do śmierci.

Nadeszła tymczasem gwardya w ilości 160 ludzi, a za nią kilkudziesięciu nadwornych żołnierzy Wojewody.

Radzono damom aby wyjechały z Ujazdowa i grozono po kilkakrotnie rozpoczęciem ataku. Pomimo przedstawień księcia Augusta i innych panów, żadna z pań nie chciała wyruszyć z Ujazdowa. Krystyna Lubomirska na wszelkie zaś pogroźki odpowiadała stanowczo: że nie wyda nic, że przedź się zginie ze wszystkimi ludźmi, a nie da sobie wyrządzić krzywdy.

Dramatyczna ta scena ciągnęła się do godziny 11 w nocy.

Hiner Rezydent cesarski, przyjaciel zmarłego Teodora i całej jego rodziny protestował przeciwko nadużyciu i oświadczał, że doniesie o szczegółach tego wypadku swemu dworowi.

Determinacya Krystyny, a może przedstawienia Hintera i innych panów, skłoniły ks. Wojewodę do zaniechania bezowocnych pogroźek. Proponował w końcu wdowie, aby złożyła pieniądze i klejnoty w miejscu przez niego wskazanem. Oparła się tej propozycyi Krystyna. Znużony i rozgniewany Wojewoda zabierał się do odjazdu, ale znalazł drzwi pałacu zamknięte i wartę, która wypuścić go nie chciała. Posłał z zapytaniem, za co pod wartą jest trzymany. Odpowiedziała na to Krystyna: „niech się ruszy z pod bramy gwardya i wróci do Warszawy, to go puszczę“.

Książę August rozkazał więc usunąć się gwardyi, poczem wyjechał z Ujazdowa. Towarzyszył mu Stanisław Lubomirski, któremu przeznaczał Wojewoda rękę swęj córki Elżbiety. W dni kilka po opisanych wypadkach, zajechano dobra Krystyny pod Warszawą. Pretensye ze strony wojewodzców Czernichowskich były ogromne. Żądał ks. Wojewoda oddania im dóbr przynoszących rocznej intraty 100,000 złotych, nadto wypłacenia 100,000 talarów i wydania połowy klejnotów.

Księżna Krystyna ufna w protekcję króla i poparcie Jana Tarły udała się do prawa. Tymczasem deponowała w bezpiecznym miejscu klejnoty i wywiozła pieniądze do Saksonii.

Dalsze dzieje sprawy nie wchodzą w zakres niniejszego opowiadania.

W szeregu matron XVIII wieku odznaczających się praktycznością, wymienimy Izabellę z Poniatowskich Branicką, małżonkę Jana Klemensa. Niedawno spotkaliśmy się z ogłoszonymi wyjątkami korespondencyi, które pełne rzucają światło na stanowisko praktyczne tej matrony; (Kronika Rodzinna z roku III i IV art. Zyg. Glogera.)

Troskliwa o podniesienie rozmaitych gałęzi gospodarstwa zajmuje się najdrobniejszymi szczegółami. Poszukuje dobrych owczarzy; podaje przepisy względem chowu trzody, zaleca czuwanie nad pasieką, troszczy się o wygodne gospody dla podróżnych, i sama rysuje plany na stajnie. W przedmiocie wykonania pewnych robót, jak np. karczowania i osuszania łąk, zasięga wiadomości od gospodarzy, obznajomionych najlepiej z nowymi możebnymi ulepszeniami. Postępując śladem dawnych znacznych matron, czuwa nad dobrobytem włościan jakoteż mieszczan, stara się o dobrych rzemieślników i osłania ich swą opieką, nawet rozdaje wsparcia pieniężne żydom, i udziela pożyczki kupcom na zakładanie sklepów. Między innymi dobroczynnymi jej dziełami znajdujemy wymienione założenie kilku szpitali dla chorych, i magazynu publicznego w Białymstoku, który stanął 1784 r.

Wszystkie rozporządzenia p. Branickiej nacechowane są niepospolitą zabiegłością i przeczornością umysłu, jak np. w przytoczonym liście do Cieszkowskiego, względem ścinania dębów, które mają być wywiezione, z zastrzeżeniem, ażeby nie ważono się niszczyć większej ilości drzew, nad umówioną i sprzedaną. Nie jeden w tym zakresie szczegół, wspomniany w rzeczonych wyciągach, wykazuje nieustanną pieczołowitość tej matrony o utrzymanie wzorowego porządku w gospodarstwie, obok znacznej dążności w niesieniu pomocy biednym.



Na temże samem polu praktycznej działalności niewieściej, spotykamy się jednocześnie z drugim słynniejszym imieniem.

Współczesną Branickiej, była Anna z Sapiechów Jabłonowska, połączona związkiem małżeńskim z Janem Kajetanem wojewodą Braclawskim, około 1753 lub 1754 roku. Występuje ona dopiero po śmierci męża 1764 r. na widowni publicznej. Nie w publicznem atoli zawodzie, lecz na stanowisku prywatnem, zdobyła wieniec prawdziwej zasługi i powszechnego uznania. W licznych dobrach, mianowicie w Kocku i Siemiatyczach, od czasu objęcia rządów, pozostawiała z każdym rokiem działalności swęj ślady. Obrawszy rezydencję w Siemiatyczach, przyzdobiła to miasto murowanemi domami, wystawiła kościół, urządziła zbiór historyi naturalnej, założyła szpital i nakoniec drukarnię, w której drukowała dzieła własne i rozmaite ustawy.

Słusznie poniekąd zauważył, pisząc o niej śp. Jul. Bartoszewicz, że Jabłonowska w pomysłach zaprowadzonych w dobrach swych reform, niebyła oryginalną, i że prawdopodobnie znakomity dziedzic Pawłowa, ksiądz Paweł Ksawery Brzostowski, był w wielu względach jej przewodnikiem. Zgadza się ze zdaniem zasłużonego badacza naszych dziejów, atoli pomienione przypuszczenie, nie zmniejsza w niczem zasługi Anny Jabłonowskiej. Nie pierwszy zresztą ksiądz Brzostowski zwrócił uwagę na potrzebę reformy, mianowicie w położeniu materialnem i moralnem ludności wiejskiej. Wszakże był on jeszcze bardzo młody, kiedy ukazało się w druku 1754 r. dzieło Stefana Garczyńskiego, „*Anatomia Rzeczypospolitej*,” gdzie głównem jest zadaniem autora, wykazanie nieodzownej potrzeby podniesienia bytu i umoralnienia ludu; cała treść księgi ten jedynie wyczerpuje przedmiot. Ksiądz Brzostowski pierwszy nadał wolność osobistą włościanom, nadto ustanowił gminę z zupełnym samorządem, nakształt oddzielnego państwa. Reforma tego rodzaju nie była w planie Jabłonowskiej.

Nie zrywając z tradycją i zachowując przywilej władzy patrymonialnej, starała się o zaprowadzenie możebnych ulepszeń odpowiednio potrzebom i stosunkom miejscowym. Ustawy jej były w wielu względach postępowe i praktyczne w wykonaniu. Cały zbiór rzeczonych ustaw wydała księżna w swęj drukarni w Siemiatyczach w r. 1786, pod tytułem: *Ustawy powszechne dla dóbr moich rządów*. Dzieło to przedrukował w roku następnym księgarz warszawski Michał Gröll. Ważny to pomnik stosunków gospodarsko-ekonomicznych i postępowych objawów w tęj przejściowej epoce.

Rzeczzone ustawy objęte są w ośmiu tomach. W pierwszym, pod ogólnym napisem: „*Dyspozycja gubernatorska*” wskazane są najprzód obowiązki gubernatora czyli generalnego rządcy wszystkich dóbr, dalej powinności administratorów pojedynczych folwarków, dwornika, dworniczki czyli gospodyni folwarcznej i t. d.

Powiedziano we wstępie, że spełniający zwierzchni urząd gubernatora, ma być przede wszystkim dobrym chrześcijaninem, zacnym przewodnikiem w cnocie i pilności. W artykule 1) zaleca panu gubernatorowi ażeby był ludzkim i przystępnym dla wszystkich, wyrozumiałym i sprawiedliwym sędzią. Zabrania wymierzania srogich kar i niepomiernego bicia. W sprawach miejskich sądzonych przez landwójta, wiejskich przez wójta, służy apelacya w drugiej instancyi do gubernatora, w trzeciej do dworu czyli do pani. Zakazuje najmocniej ustawodawczyni przyjmowania datków pod jakim bądź pozorem, jak np. świętecznego, wykładów

lub grzywien, atoli dodaje, że niniejsza uwaga nie odnosi się bynajmniej do jej teraźniejszego gubernatora, którego nieposzlakowana uczciwość, godna jest zupełnego zaufania. Gubernator objeżdża czyli lustruje folwarki raz na miesiąc. Przyjechawszy do wsi, dowiadyuje się czy administratorowie nie krzywdzą włościan, czy niema zubożałych i potrzebujących ratunku, następnie informuje się względem moralności miejscowej ludności, i każe sobie przedstawiać wykraczających przeciwko obyczajom.

Do obowiązków gubernatora należy zawieranie kontraktów z majstrami. W każdą sobotę zjeżdżają się do jego domu administratorowie i inni oficyaliści z tygodniowemi raportami, nadto odbywają się tamże sesye miesięczne, pod prezydencją samęj pani lub gubernatora. W następnych artykułach wyłuszczone są obowiązki wiejskich oficyalistów, pomiędzy któremi pierwsze miejsce zajmuje administrator. Czuwa on nad moralnością i religijnością włościan, przestrzega ażeby każdy odprawiał co kwartał spowiedź i komunię S-tą, w dowód czego mają być składane od proboszczów kartki. Administrator ma główny dozór nad porządkiem utrzymaniem wszelkich zabudowań i bezpieczeństwem od ognia. W celu zapobieżenia wypadkom, zważywszy że światło potrzebnem jest w nocy, ustanowiła dziedziczka na folwarku stojącą latarnię. W szczególnej pieczy administratorów ma być utrzymywanie ogrodów, zaleca się im mianowicie staranie około rozmnożenia wiśni, pożyczek i berbersy, które są pierwszym lekarstwem na gorączkę; za dozorowanie staranne tytoniowych i chmielowych ogrodów ma być osobna nagroda. Znajdujemy następnie przepisy dla pani administratorowęj. Ma ona zajmować się przysposobieniem zapasów, które służyć dla wygody domu jako też dla chorych. Każda z tych pań powinna mieć alembik, dla przepędzania różnych wódek, jako to: poziomkowęj, różanej, słazowęj, bzuwęj, i t. d. Administratorowa przyrządza powidla z bzu, sliwek, wisien, berbersy, troszczy się o pomnożenie suszu potrzebnego dla chorych, zbieranie i suszenie ziół, jako to: kwiatu bzuwego, różanego, ślazu, rumianku, weroniki, dziewanny i t. d. Zajmuje się ona marynowaniem rydzów, zbieraniem grzybów, robieniem różnych octów, bądź z bzuwego soku, bądź z drożdży nalanych wodą; przyrządza soki z rozmaitych fruktów, mianowicie z malin, berbersy, pożyczek. Ona też dogląda przedzenia lnu, którem ma zajmować dziewczęta w długie zimowe wieczory. Na tem ograniczały się obowiązki pani administratorowęj. Druga połowa domowego czyli właściwie żeńskiego gospodarstwa, znajdowała się w rękach dworniczki czyli żony dwornika. Obowiązki teżę, wyłuszczone są w oddzielnym artykule wraz z przepisami: o dozorze krów, nabiale, robocie serow, przedzeniu lnu, bieleniu płócien, utrzymaniu i rozmnażaniu drobiu, dalej o konserwowaniu fruktowych drzew, kwaszeniu warzywa, o robieniu króp różnych, mąki pszennęj, o marynowaniu ziół na zimę, następnie przepisy kuchenne. Wiadomością o sposobach zużytkowania wszystkich szczegółów zabitego bydłęcia, kończy się informacya, dotycząca działu żeńskiego gospodarstwa.

Wartykule zawierającym przepisy dla administratorów wiejskich, napotyamy uwagę, o niedorzecznym systemacie gospodarowania, według jednego, z-dawną przyjętego zwyczaju, w danem wojewodztwie lub okolicy. Oburza się autorka ustaw na nierozsądne obstawanie przy starym zwyczaju, kiedy wiadomą jest rzeczą, że sama niejednostajność gruntów wymaga rozmaitej uprawy. Podaje zatem przepisy utrzymywania

i okopywania pól, następnie mówi o uprawie, zasiewie żniwie i. t. d. Administrator czuwa więc nad ogółem gospodarstwa wiejskiego, pomocnikami zaś jego są, mianowicie w części dozoru: dwornik i ławnicy,

Dwornik karbuje na lasce wiele na którym polu wysiewa się zboża i wiele jest morgów. On dogląda robót pańszczyznianych w polu, zatem ma dozór nad ławnikami. Między pierwszymi powinnościami jego postawione jest, odmawianie z folwarczną czeladzią rannych i wieczornych pacierzy. (d. c. n.)

## WPŁYW DŹWIĘKÓW W PRZYRODZIE.

Muzyka, i harmonija, nie zawsze idą z sobą w parze. Harmonii nigdy niema dosyć na świecie, muzyki często zanadto. Liczne fortepiany, znajdujące się w każdym prawie domu większego miasta, na ciężką uszy nasze narażają próbę, zwłaszcza gdy w nie uderza niewprawna ręka ucznia, lub gdy dwie sprzeczne noty na raz się odezwą z góry i z dołu. Cóż dopiero, gdy osoba chora lub zajęta jaką poważną umysłową pracą, jest wystawiona na to drażnienie słuchu, lub gdy nam ono spoczynek nocny przerywa. Faktem jest, że każdy hałas w którym sami nie bierzemy udziału, nie mile oddziaływa na słuch nasz. Ponieważ zaś życie samo jest ciągłym ruchem, każdy więc hałas jako objaw jego, ma w sobie coś pobudzającego, a działając na nerwy i wyobrażenie, wywołuje w niej szereg porównań.

I tak np. nie dawno przemawiały armaty głosami wściekłych olbrzymów. Przeciwnie zaś drzewa i strumyki w piękny dzień letni, szemrzą pieśń dziwnie tajemniczą. Ale nie myślemy tu wskazywać nieskończonej różnaitości, poetycznych i prozaicznych porównań, obrazujących nam wszelkie odcienia dźwięku. To pewna, że każdy hałas niespodziewany, pobudza nas do zastanowienia.

Co się dzieje? pytamy, a często i sami biegniemy, aby się o przyczynie jego przekonać. Grzmoty, pioruny, wichry i burze z pewnego uspienia, wyrwijają nieraz władze nasze. Są też czasem stosunki życia, tak pełne monotonnej ciszy, że obudzają w nas pragnienie gwarnego ruchu, które gdy zbyt długo zaspokojonem nie jest, szkodliwie oddziaływa na energię i sprężystość ducha. Człowiek który nigdy nie bierze udziału w przyspieszonym ruchu życia, pełni jego w sobie czuć nie może, i żądł to powstaje niemiała atmosfera nudów, ciężąca na niektórych indywidualach, nie biorących udziału w niczem, coby ich spokojność zakłócić mogło.

Życie prawdziwe, musi czasem wykrzyknąć radością, zapłakać lub się zaśmiać, ażeby mieć poczucie istnienia i siły swojej! Każda też podniesiona strona jego, drga w nas mimo woli; oczekiwanie, nadzieja, radość niespodziana, musi się wylać na zewnątrz; młodzi wtedy skaczą weselą się, tańczą; starsi potrzebują się chociaż wylać w słowach. Wprawdzie, zależy to wiele od indywidualnego usposobienia ludzi i narodów. Nie we wszystkich życie równie przyspieszonym gra tętnem, ale nawet u najbardziej zaspanej natury, ruch jest zawsze koniecznym warunkiem życia.

Weźmy np. tych powolnych Chińczyków, którzy wśród spokojnej żyjąc przyrody, i wśród rzek płynących tak poważnie jak ich żywot cały, mają jednak mowę, któraby bez gwałtownych gestów nie była zrozumiałą. Deklinacje i konjugacje, zastępuje u nich pantomina rąk i nog, a muzykalne ich instrumenta,

najdłuższe i najgłośniejsze wywołują tony. Ich bęben metaliczny (gong) więcej robi hałasu, niż sto naszych bębnów. Przerażliwy ten instrument, znieść tylko może naród, żyjący w tak jednostajnych stosunkach politycznych i domowych jak Chińczycy; wynaleźli też oni przed wiekami huczne organy naturalne; są to ogromne odłamy skał, w które ciężkimi młotami biją z całej siły.

Znajdujemy też i w przyrodzie rozmaite odgłosy.

Dziwna muzyka, która słyszeć się dawała w pobliżu wyspy Cejlan, przejmowała zabobonnych majtków portugalskich niezmierną trwogą. Raz jak gdyby z głębi morskiej, zdawały się tam odzywać głosy; to znów jakiś śmiech szyderski rozlegał się w dali. Jęki żalonne przechodziły nagle w gwar straszliwego boju, aż wszystko przycichło, niby uspięne skrzydłem śmierci. Przesadzone cokolwiek opowiadania owych majtków. zrazu w Europie nie znajdowały wiary, ale później, przekonano się wielokrotnie o ich rzeczywistości. Uczni więc badali przyczynę tej muzyki i doszli: że składają się nanią głosy ludzkie, wycie psów i krzyki Ulamy, zwanego diabelskim ptakiem, powtarzane przez echa przeciągające przez wązkie skał szczeliny. Nie wchodząc w dalszy rozbiór tej muzyki, która jest faktem niezaprzeczonem, wspomniemy tu jeszcze o niektórych stworzeniach, których przyroda od urodzenia na mniej więcej harmonijnych namaściła artystów.

Oprócz Ulamy z wyspy Cejlan, dziwny jest także amerykański ptak drwiący, po indyjsku zwany *Contta Tolti*, czyli stujęczyczny, który urozmaicił jeszcze swój repertoar, odkąd z zaprowadzeniem cywilizacji, nowe do naśladowania posłyszał dźwięki. Świszcze on jak lokomotywa, piszczy jak zepsuta katarynka, rozprawia, jak kilku ludzi naraz, i śpiewa urywki z indyjskich, amerykańskich, i niemieckich piosenek. Australijski bazant z lirą, jeszcze większej sztuki dowodzi, naśladowując za równo, hałas kół młyńskich, uderzenie kopyt końskich wycie psów, krzyk dzieci, jednem słowem wszystko co posłyszysz. Ma on jak się zdaje pokrewną naturę z Ulamą cejlańskim.

Elektryczność, także nieraz dziwne wywołuje dźwięki. W roku bieżącym w pewnej wiosce w południowej Francji stawiano krzyż żelazny na skale, nagle zwykłe narzędzia robotników użytych do tej pracy, zaczęły same przez się dźwięczyć, tak, że nie pojmując przyczyny tego wypadku, ludność miejscowa przypisała go czarom. Dopiero proboszcz który kierował całą pracą, dostrzegłszy czarną chmurę nad głowami robotników, poznał że to skutek elektryczności, i kazał im zejść ze stanowiska, które się niebezpiecznym stawało. Wtedy objawił się nowy fenomen, potwierdzający przypuszczenia proboszcza, bo gdy już żadne obce ciało nie dotykało krzyża, nietamowane teraz niczem prądy elektryczne, tak silne z żelaznego słupa wydobywały dźwięki, że huk ich mowę zagłuszał.

Żądł przypuszczenie, że gdyby na szczycie skały umieszczona była wielkich rozmiarów drumla, stanowiłaby harfę elektryczną, potężniejszą daleko od harfy eolskiej, którą Lamartine tak poetycznie wspomina. Dźwięki Amfiona poruszające skały, nie są więc już teraz naszym mytem. Straszne również opowieści, o przerażających głosach, mających się odzywać na pustyni Cox, koło Kabulu, w bliskości morza Czerwonego w miejscu zwanem Elnakus; ze skał granitowych nad brzegami Orinoko, i z góry diabelskiej od przylądka Dobrej Nadziei; posąg Memnona, i inne tajemnicze dźwięki w przyrodzie, wyjaśnione także po części zostały przez sumiennych badaczy. Jednakże ci

przyznają, że pierwsze ich wrażenie, zawsze dziwnie działa na wyobraźnię; szczególnie odzywając się przy wschodzie słońca organy ze skał granitowych nad brzegami Orinoko, porywająco wpływać mają na ducha ludzkiego.

Długi czas, miano zwierzęta niższego gatunku, za głuchonieme i ślepe, ale teraz, przekonano się że ci ślepi mają często bardzo piękne oczy, a ci niemi mówę dla równych sobie zupełnie rozumiały. Uszy niektórych muśzli, widziane przez mikroskop, przedstawiają się jako arcydzieła piękności, a tak zwane nieme stworzenia, mówią między sobą, a może i śpiewają. Przynajmniej widzimy nieraz jak takt wybijają do muzyki, która tylko przez nasze mniej delikatne organy uszu, nie jest dosłyszana. Uczony niemiecki Helmholtz utrzymuje, że daleko jest więcej tonów niedostępnych dla naszego ucha niż takich które dosłyszeć jesteśmy w stannie.

Muzykalnego talentu owadów, dowodzi nam nie tylko nauka, ale opiewali go nawet poeci, jak Goethe w *Fauście*, i Löwenstein w *Weselu Chrząszczyka*. Chrząszcz pospolity jak mu tylko jakie niebezpieczeństwo grozi, bije na alarm skrzydełkami swemi z nadzwyczajną szybkością, a innym chrząszczom robi to zapewne takie wrażenie, jak nam kiedy w bębny na gwałt uderzą.

Mrówki, zdają się być zupełnie nieme, a jednak przy mrowiskach termitów szczególnie, można zauważyć, jak one się doskonale między sobą rozumieją. Na około robotników stoi straż, uderzająca od czasu do czasu języczkiem o jaki przedmiot twardy. Na to uderzenie, regularnie odpowiadają z mrowiska lekkim szmerem, co dowodzi że sygnał dosłyszano. Pszczoły i pająki mają delikatny słuch muzyczny, i rozpoznawają ludzi po głosie. Anglik Huber, sławny pszczolarz mimo swej ślepoty, opisuje jak go pszczoły rozumieją, i jak mu są posłuszne. W małej Azji pasterze prowadzą pszczoły na łąkę, jak u nas owce, a gdy ku wieczorowi nasycą się obfitym zbiorem, na dany znak tak zwanego ojca pszczoł, posłuszne wracają do uli.

Do lubiących muzykę stworzeń, należą pająki i węże. Nie jeden więzień, obłaskawił mową i śpiewem pająki, które potem na głos jego wychodziły ze swoich kryjuwek.

Roztropne węże, mają delikatne języczki i uszy, a muzykę lubią tak namiętnie, że ta na nich zupełny czar wywiera. Najziadliwsze węże gdy śpiew posłyszają zaczynają się w takt poruszać. W Nubii nad brzegiem Nilu, są tak nazwani wywoławcze węzów, którzy za pomocą pewnych dźwięków, wywołują te płazy z ich kryjówek, imogą z niemi robić co im się podoba. Napoleon I za bytnością swoją w Egipcie, uczył się sztuki obłaskawiania węzów.

We Włoszech i południowej Francji, można widzieć cyganów wywołujących żmije odgłosem fujarki, którym się one tak zachwycają, że je wtedy połapane jedna za drugą, i zapakowane żywo między wióry, rozsełają do aptek. Ryby także uchodzą za nieme, a jednak słuch mają bardzo delikatny. Któż nie słyszał o stóletnich Tuileryjskich karpkach, z których każdy miał swoje imię, i zawołany wypływał. Są ryby które krzykiem lub bębnieniem wpędzają do sieci. Widziano Włocha który tak obłaskawił swoje ryby, że nie tylko pokazywały się i nikięły na zawołanie, ale dawały dramatyczne przedstawienia. Uczony szczupak, np. łapał pstrąga i aportował go.

Namiętnie zamiłowanie krokodyla w muzyce, niemiecki poeta Geibel opisuje humorystycznie w swojej znanej poezji:

Nad brzegiem Nilu  
Wesoła muzyka

gdzie grą skrzypców zachwycony potwór, w taki szal, wpada, że tańcuje najprzód menueta, a potem taką wściekłą galopadę, że aż kilka piramid przewraca. Trzoda chlewna, która zresztą wcale nie uchodzi za mającą delikatne organa, da się jednak do tego stopnia ucywilizować, że pewne słowa rozumie, i nawet sztuki pokazuje. Jeden Anglik w zeszłym stuleciu, sławę i pieniądze zawdzięczał uczonym świnkom, które na dwóch nogach tańczyły i we flecik melodyjnie dęły. Ludwik XI król francuzki, miał całą orkiestrę złożoną z chlewnych muzykantów, a to w ten sposób, że ustawiano rzędem te stworzenia podług grubości ich głosu, a za pociągnięciem ich ogonów, wywoływano podług pewnej noty, całą skalę rozmaitych tonów. Dziś mimo wysokiej naszej cywilizacji, kto wie czyby jeszcze podobny koncert nie znalazł amatorów. Sielankowi poeci, opiewają przysłuchujące się fujarkom trzody. Góralki alpejskie, wiedzą najlepiej jak krowy lubią śpiew lub odgłos rogu. Każda z ich krów ma swoje imię, i na zawołanie przychodzi. W Londynie, co rano pędząc krowy przez ulice miasta pasterz woła: Mléko prosto od krowy, do własnych naczyń! a dziewczęta się schodzą, wołają znane sobie krowy po imieniu, i te przed niemi stają do doju.

Niektóre zwierzęta, mają wstręt do pewnych dźwięków, i tak grecki sofista Akteon który 17 ksiąg napisał o przyrodzie zwierząt, utrzymuje że wilk ucieka na odgłos fletu. Pytagores uratował się przed goniącym go stadem wilków, grając zapamiętałe jakieś solo na flecie. W Ameryce bronił się raz, pewien podróżnik całą noc przeciw dzikim zwierzętom, muzyczną bronią skrzypców. Lew ucieka gdy słyszy pianie koguta. Trudno odgadnąć czy wstręt, czy zbyt cicha tkliwość jest przyczyną żalostnego wycia psów gdy usłyszą muzykę, jest to wszakże symptomat powszechnie znany.

Mało kto może zauważył, jaką rozmaitość tonów, wydobywa pies ze swojej piersi, poczynawszy od zwyczajnego szczekania, aż do cichego mrużenia kiedy się łąsi. Muzyczny zmysł koni, powszechnie jest znany; muzyka wojskowa pobudza ich odwagę, a dziewczęta libijskie, zwabiają śpiewem dzikie kłaczki aby je wydoić. Za Wilhelma III króla angielskiego, Lord Holland regularnie co tydzień urządzał koncert dla swoich koni w umyślnie na ten cel zbudowanej sali.

Wpływ muzyki na słonie i wielbłądy, opisywano już niejednokrotnie. Słoń daje widoczne znaki rozczerulenia, gdy słyszy smętną melodię, a marsz wojskowy do boju go zapala.

Wielbłąd, ten myślący i romantyczny okręt na morzu pustyni, jedynie dźwiękiem muzyki i śpiewem kierowany bywa. Niktby nie śmiał uderzyć tego łagodnego, a jednak tak wytrzymałego bohatera piaszczystych stepów.

Arab i jego wielbłąd, są obrazkiem historycznym, jak gdyby wyciętym z biblii; jacykami ich Mojżesz opisywał, takimi i dziś jeszcze spotykamy ich w Azji i Egipcie. Arab ma przywiązanie pełne czci, zarówno dla swego konia, jak dla swego wielbłąda, przemawia do nich, gra im i śpiewa. Przy bladym świetle księżycy, sunie karawana pustynią, a każda postać rysuje się jak widmo. Cisza panuje niczem nieprzerwana, tylko siedzący na grzbiecie wielbłąda Arab, monotonnym śpiewem się odzywa. Ale noc jest długa, a droga jeszcze dłuższa. Ukołysany do snu Arab, jednostajnością ruchu, usypia, i śni o cieniastych palmach, i przezroczytych wodach swojego kraju. Śpiew jego ustał. Wielbłąd słucha strzyże uszami, czy zasem nie posłyszysz jeszcze jakiego dźwięku i zwalnia krok coraz bardziej, nareszcie staje jak nienakręcone u maszyny koło. Zbudzony Arab przeciera oczy, i odrazu chwyta piszczałkę ukrytą w fałdach turbanu, a jej

głosem ożywiony na nowo wielbłąd płynie dalej, w stro-  
ne może jeszcze o jakie kilkanaście dni drogi odległa.  
Zatem muzyka dla okrętu pustyni zastępuje się pary.

Ale wielbłądy, konie, słonie, węże, i t. d. są to  
stworzenia, zamiłowane w muzyce tylko w pewny  
sposób, a czynnymi muzykantami przyrody, są dopie-  
ro te rozkoszne chóry uskrzydłonych kwiatów, koły-  
szących się wśród zieleni drzew naszych. Ptaszki nie  
które są uosobionemi żywymi dźwiękami. Słowik, z 25 re-  
gestrami głosu swego, jest śpiewakiem jakiemu nikt  
dorównać nie może. Człowiek mający płuca, może sto-  
razy większe niż cały słowik, choćby był najślawniej-  
szym śpiewakiem, nie może z nim iść w zawody o si-  
łę głosu, gdyż śpiew słowika w piękną noc majową,  
słychać o pół mili i dalej. Wesoły śpiew skowronka, i tylu  
innych ptaków, stanowi prawdziwe nadpowietrzne konser-  
watorium muzyczne. w którym się żadne fałszywe  
nie odzywają tony, kiedy przeciwnie na 1,000 cywili-  
zowanych ludzi, ledwie kilkunastu znaleźć można, któ-  
rzy w znośnie harmonijny sposób, używają cudowne-  
go organu głosu.

Prawdę powiedziawszy, nie masz w stworzeniu, is  
tot zupełnie niemych i głuchych, tylko nasze zmysły nie  
są dość delikatne aby je zrozumieć. Pismo Święte mó-  
wi: kto ma uszy, niech słucha, a jednak jakże mało  
ludzi, trzyma się tego przepisu w prawdziwym jego  
znaczeniu, gdy tymczasem stworzenia nie posiadające  
organu słuchu ani mowy, rozumieją się między sobą  
za pomocą różnych znaków, które są dla nich pieśniami  
bez słów. Motyle n. p. przemawiają tylko, barwistą  
mową skrzydełek swoich, chociaż Darwin w południo-  
wej Ameryce, obserwował takie, których bębienie  
skrzydełkami, wyraźnie słyszyć się daje, kiedy wabią sa-  
miczki. I tak ten odgłos który ludzie wzywa do walki  
i bohaterkiej śmierci, tutaj służy za gitarę miłosną.  
Wszystko co żyje, rusza się, oddycha, tém samém  
wywołuje drganie w powietrzu, które tylko bardzo de-  
likatny organ uchwycić potrafi, bowiem ludzki słuch,  
nie jest ostateczną miarą tego co słyszanem być może.

Znane jest powszechnie przysłowie: *Niemy jak ryba*,  
a jednak w południowej Ameryce, są ryby śpiewające,  
a Arystoteles, który nie zwykł mijać się z prawdą, opo-  
wiada, że słyszał złapanego delfina, tak głośno wywo-  
dzącego skargi, że niemi zwołał mnóstwo innych del-  
finów którzy go oswobodzili.

Żaby są także artystkami w swoim rodzaju, tylko  
nie dla naszych uszów. Skrzeczą one z pewną metodą,  
i jest nawet mahometańska sekta, która z tego powodu  
część im oddaje. Zielone żabki w Paramaibo, i inne  
znów, nad brzegami Wołgi i morza Kaspijskiego, na  
kilka mil w około zagłuszają wszystko swym choral-  
nym śpiewem.

Wszystko co żyje i rusza się w przyrodzie, jest czyn-  
nym członkiem w nieustającej sfer harmonii; wszakże  
słuch ludzki, ogranicza się na bardzo małą skalę bo  
na 8½ oktawy. Nie idzie zatem, żeby ich więcej nie  
było, tylko że są dla nas tak nieprzystępne, jak dla  
głuchego te dźwięki, które każdy z nas słyszy.  
Zauważyć tu jednak trzeba, że tak jak wszystkie inne  
zmysły, i słuch do wysokiego stopnia wyrobić można,  
jak to często bywa u niewidomych, lub u każdego  
człowieka w chwilach naprężenia nerwowego, spowodo-  
wanego oczekiwaniem lub obawą.

Można przypuszczać, że światło, które jest milion  
razy szybsze od głosu, ruchem swym w przestworach,  
harmonijne wywołuje dźwięki, a ktoby miał słuch po-  
temu mógłby słyszyć:

*Jak głosy słońca starym obyczajem  
Zlewają się w harmonią sfer*

Tak przynajmniej opiewa w *Fauście* swym Goethe.  
O harmonii sfer, pisano już w starożytności. Przes-  
twory świata, któremi płyną słońce i gwiazdy, napel-  
nione są materją kosmiczną, którą ciała niebieskie  
przebiegają z niesłychaną szybkością, wśród ciągłej  
harmonii. Niewyczerpane źródła szczęścia i harmonii, plyną  
też wciąż ku nam w głosach przyrody i sztuki. A niezale-  
żnie od tego, czyż głos ukochanych niosący nam słowa rado-  
ści lub współczucia, nie jest najmilszą dla uszów naszych  
harmonią? F.

## LISTY Z PETERSBURGA.

### III.

Ruch ludności—Śmiertelność i jej przyczyny—Choroby—Słaby rozwój życia  
rodzinnego—Towarzystwo zachęty kobiecego wychowania—Międzynarodo-  
wy statystyczny kongres—Drożyzna mieszkań i opału—Zorza północna—  
Zmiany pocztowe.

Statystyka Petersburga pozostaje jeszcze w stanie nie-  
dokładnym. Dotychczas nie mamy pewnych wiadomości  
o liczbie nawet mieszkańców, według religii i narodo-  
wości. Ostatni statystyczny popis, dokonany w Gru-  
dniu roku 1869 z większą dokładnością niż poprzedza-  
jące, obiecuje wprowadzić pod wielu względami zado-  
wolnić ciekawość ogółu, ale Centralny Statystyczny Ko-  
mitet dotąd nie opracował i nie ogłosił zebranych ma-  
terjałów. Zanim jednak to nastąpi, postanowiliśmy po-  
dzielić się z czytelnikami *Kroniki*, choć szczupłym za-  
sobem wiadomości, które udało się nam zebrać, częścią  
z urzędowych, częścią z prywatnych źródeł.

Ludność Petersburga składa się z 667 tysięcy mie-  
szkańców, z których 376½ tysiąca stanowi płeć męzka  
i 290½ tysiąca—płeć żeńska. Takięj różnicy między  
ludnością męzką a żeńską nie spotykamy w żadnym  
z większych miast Europy.

W roku 1870, w Petersburgu urodziło się 19,600,  
umarło zaś 23,100 osób płci obojęj; liczba więc zmarłych  
przewyższyła liczbę narodzonych o 3,500 osób. Taka  
przewyżka nie była przypadkowym, ale zwyczajnym,  
corocznie powtarzającym się tu objawem, który najwy-  
mowniej świadczy, że ludność tutejsza, będąc zostawio-  
ną samęj sobie, w pewnym przeciągu czasu, całkiemby  
wymarła. Jeśli więc Petersburg nie stał się dotychczas  
bezludnym, to istnienie swoje zawdzięcza jedynie przyje-  
źdnym, zasilającym sobą ludność stołeczną. Właściwych  
krajowców petersburgszczyzanów liczy się tu niewięcej jak  
200 tysięcy osób; zatem około 467 tysięcy stanowią przy-  
jeźdźcy z różnych prowincyi kraju i z zagranicy. Choć  
wielu z nich pozostało tu na czas nieograniczony, je-  
dnak przypisani są (według paszportów) do liczby przy-  
jeźdźnych—i oto jest przyczyna, dla której ludność tu-  
tejsza, pomimo stałej przewagi umierających nad ro-  
dzającymi się, nie tylko się nie zmniejsza, ale jeszcze  
wzrasta corocznie.

W r. 1750, w Petersburgu liczyło się ludn.	80,000	osób.
„ 1800	220,000	„
„ 1850	533,000	„
„ 1870	667,000	„

Do głównych przyczyn panującej w Petersburgu  
śmiertelności, należy zaliczyć, oprócz szkodliwych wła-  
sności klimatu, warunki i sposób życia tutejszych mie-  
szkańców. Zajęcia wymagające długiego siedzenia, bez-  
senne noce, w ogóle nadużycia wszelkiego rodzaju,  
w klasie wyższej; nieszczęśliwe zaś nałogi, przy nie-  
zdrowych pokarmach i wilgotnych w podziemi mieszka-  
niach, w klasie niższej, nakoniec niezadawalniający

sposób oczyszczania miasta; wszystko to w znacznym stopniu przyczynia się do powiększenia procentu śmiertelności.

W roku przeszłym w Petersburgu było 860 wypadków nagłej śmierci. Z tej liczby 12 osób padło ofiarą zabójstwa; 55 (42 mężczyzn i 13 kobiet) zginęło od samobójstwa i 145 osób (124 mężczyzn i 21 kobiet) — od nadużycia różnych trunków, ilu zaś zginęło od tego nałogu śmiercią powolną, niewiadomo. Liczba ta musi być jednak znaczną, bo służba policyjna codziennie zabiera z ulic Petersburga do 530 osób (350 mężczyzn i 180 kobiet). W dni niedzielne i świąteczne, liczba ta powiększa się w dwójnasób, a nawet w trójnasób.

Nie wchodząc wszakże w szczegółowe rozstrząsanie przyczyn złego, powiemy tylko: że apoplexye, gorączki, zapalenia, reumatyzmy, różne cierpienia płucowe, grypy, szkorbuty, tasieince, przedwczesna utrata zębów i włosów — są to stałe i najbardziej upowszechnione w Petersburgu choroby. Do tego szanownego szeregu, dołączają jeszcze należy często panującą tu cholera.

Petersburg słusznie może się zwać miastem bezżennych, bo tutejsi mieszkańcy bardzo mało okazują popędu do życia rodzinnego. W roku 1870 zawarto tu było 4,150 związków małżeńskich. Zbyt to mały procent dla ludności składającej się z 667 tysięcy mieszkańców. Coraz to bardziej rozpowszechniające się zamikowanie do zbytków i życia nad skalę, przy ogólnej drożyznie i zmniejszonych środkach, większe niż dawniej wymagania ze strony płci pięknej, obyczaję dzisiejszej młodzieży, przekładając życie burzliwe nad cichy spokój domowy, nakoniec ruchawość tutejszej ludności, składającej się przeważnie, jak to nadmieniliśmy wyżej, z ludzi czasowo zamieszkujących stolicę, oto są główne przyczyny słabego rozwoju życia rodzinnego.

Zwracając się do wypadków tegoczesnych, zaczynamy od najświeższej nowiny. W Petersburgu utworzył się projekt Towarzystwa zachęty kobiecego wychowania w Rosyi. Zadaniem projektowanego Towarzystwa jest rozszerzenie oświaty kobiet, na religijno-moralnej zasadzie, za pomocą zakładania szkół i wydawania uboższym dziewczętom pieniężnego na wychowanie wsparcia. Jeśli projekt ten przyjdzie do skutku, to na przyszłość obszerniej o nim pomówimy. Teraz zaś doniesiemy wam jeszcze: że w Sierpniu roku 1872, ma się tu odbyć międzynarodowy statystyczny kongres, na który spodziewają się przyjazdu kilku zagranicznych uczonych, i że w dniu 29 Października, o godzinie 11-jej wieczorem, na tutejszym horyzoncie, dało się widzieć zjawisko zorzy północnej.

Drożyna mieszkań i opału jest obecnie najżywniejszym zadaniem dla wszystkich petersburszczanów. W istocie, w ciągu ostatnich lat kilku, ceny mieszkań ciągle się powiększały, w bieżącym zaś roku od razu na kilkadziesiąt procentów się podniosły. Z powodu tej drożyzny, niektórzy ze stałych tutejszych mieszkańców przenieśli się do Carskiego Sioła (o 3 $\frac{1}{2}$  mile od Petersburga) lub do bliższych od stolicy i połączonych z nią koleją żelazną miejscowości, które zwykle latem tylko są zamieszkałe. Badając przyczyny takiej drożyzny mieszkań, niektórzy wskazują na powiększenie ludności, ale ono następując stopniowo, nie mogło wywołać tak gwałtownego przejścia. Prawdopodobniej byłoby przypisywać przyczynę ogólnej drożyzny tak robotnika, jako też wszystkich materjałów i żywności. Według zapewnienia tutejszych dzienników, w Petersburgu wkrótce ma się utworzyć stowarzyszenie w ce-

lu budowania nowych domów, z warunkiem, że każdy akcyonaryusz stanie się właścicielem swego mieszkania.

Co się tycze opału, to ten, w porównaniu z rokiem przeszłym, podrożał o sto procentów. Szażeń kwadratowy drewna rabanych brzozowych (długość polana pół łokcia), kosztuje teraz od 6 do 7 rubli, sosnowych — około 5 rubli. Drożyznę tę powszechnie przypisują znowie handlarzy, bo tegoroczny zapas drzewa jest w dwójnasób większy od przeszłorocznego. Jeśli wyniszczenie lasów w bliższych od Petersburga miejscowościach, mogło wpłynąć na drożyznę opału, to w każdym razie podobne wpływy objawiają się stopniowo. Główny naczelnik tutejszej policyi generał Trepow, nie udając się do środków przymusowych, które przynoszą zwykle więcej szkody niż korzyści, ogłosił niedawno, że od dnia 1-go Grudnia odkryją się cztery skarbowe składy, dla sprzedaży drzewa ludziom niezamożnym, za cenę od 2 r. 40 kop. do 3 r. 50 kop. za szań. Bez wątpienia, okoliczność ta wpłynie na obniżenie cen handlarzy.

Od Nowego Roku, w całym państwie rosyjskiem nastąpią niektóre zmiany w przesłaniu korespondencji pocztowej, a mianowicie: 1) Przy oddawaniu na pocztę listu kilkulótowego, dozwala się płacić tylko za łót jeden, resztę zaś dopłaci odbierający korespondencyę. 2) Wprowadza się nowy rodzaj listów *niezapieczętowanych*, z opłatą 5 kop. od łota. 3) Dozwala się oddawanie na pocztę posłerek nieubezpieczonych za opłatą stosowną do odległości, zaczynając od 3 kop. za funt. 4) Posępki, ważące niewięcej 5 funtów i nie droższe nad 10 rubli będą rozwozić się z poczty, według adresów, za opłatą 15 kop. od posępki. Zmiany w przesłaniu pism czasowych tyczą się rachunków zarządu pocztowego z wydawcami, Artur Dolński.

## EGLANTYNA.

Powieść pani Beecher-Stowe.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO.

J. C.

(Dalszy ciąg).

Podróż nasza do Bostonu, odbyła się w ostatnią sobotę Wielkiego Postu. Lady Lothrop zabrała nas w wygodnym powozem, Henrysia usadowiła obok siebie, miał bowiem wielkie łaski u niej; Eglantyna była z drugiej strony, a ja na przodzie. Miss Mehitable również się obawiała o swoją wychowankę, jak i nasi opiekunowie o nas, upominała ją aby się przyzwociła zachowała, a nade wszystko, aby się nie naprzykszała zbytnią wielomównością. Wymogła nawet od niej zapewnienie, że prócz modlitwy, którą szeptać może, na zapytania tylko odpowiadać będzie. Dotrzymała słowa, ale posmutniała bardzo; my też baczni na upomnienie starszych, prócz kilku słów uprzejmie zamienionych z lady Lothrop, zachowaliśmy również przykładne milczenie, które w końcu przerwane zostało, ciężkiem westchnieniem Eglantyny.

— Cóż ci to kochanko, żeś tak posmutniała? zapytała milady.

— Bo pragnę być w kościele.

— Ale będziesz tam jutro.

— Więc tymczasem będę się modlić. O Panie! zawałała z psalmistą, porusz wargi moje!

— Dlaczegoż właśnie te słowa wybrałaś duszko?

— Tak mnie umęczyło nakazane milczenie....

— A to sobie rozmawiaj do woli, rzekła śmiejąc się dobra pani.

— Dziękuję pani, och! dziękuję, zaszczebiotała uradowana mała gaduła, co tak zabawiło lady Lothrop, że zamiarkowawszy wtedy położenie całego towarzystwa, sama ożywiła rozmowę, która się wkrótce stała tak głośną i wesołą, że aniśmy się spostrzegli jak czas upływał, i jak zajechaliśmy do wspaniałego domu, gdzie wszystko tchnęło bogactwem i wykwiem, Uprzejma poważna postać sędziwej matki lady Lothrop spotkała nas w progach. Uściskała czule przybyłą córkę, nas wszystkich przyjęła z ową patryarchalną dobrotną uprzejmością, która w osobach podeszłego wieku staje za błogosławieństwo względem dzieci i młodzieży. Obok niej stała miss Debora starsza siostra lady Lothrop, nieco surowego wyrazu twarzy, ale wytwornego obejścia, i jeszcze jedna dama nie zbyt młoda ale strojna, której dawano nazwę lady Widgery. Po zwykłych przywitaniach weszliśmy do obszernej sali, a przepych zastawy stołu, również jak dobór usługi, przejęły nas podziwieniem. Kiedy sędziwa pani domu odmówiła krótką modlitwę, rozpoczęto wieczerzę, z wielką naszą radością. Rozmowa toczyła się o nieznanych nam osobach, pomiędzy innymi, lady Widgery zapytała Miss Debory: Co się dzieje z jej kuzynem półkownikiem Davenport?

— Nie lubię go, odkąd przeszedł pod przeciwną chorągiew, rzekła. My jesteśmy zawsze wiernymi zwolennikami króla Jerzego; wreszcie on przesiąkł błędami Francji, bo tam nie dawno gościł.

— Ależ to podobno rozpacz zagnała go w obce strony, bo odkąd jego żona dostała pomieszania zmysłów, niemógł się tu utrzymać.

— Nie nie tłumaczy zdrajców! wykrzyknęła miss Deborah, tak wysokim dyszkantem, że aż jej matka przerwała mówiąc:

— Pomnij przecież na miłość bliźniego.

Tu służący oznajmił przybycie półkownika Davenport, który niebawem wszedł do sali. Widok jego wspaniałej postawy, która się przedstawiła w nieco wojennym szyku, wielkie na nas dzieciach uczynił wrażenie. Włosy jego upudrowane dodawały jeszcze blasku ciemno-szafirowym oczom, które wyrażały myśl głęboką i dowcip przenikliwy, igrający na kształtnych ustach i rysach doskonałej piękności. Swobodne jego ruchy i wesoła, sarkastyczna rozmowa, zwłaszcza kiedy się sprzeczał z miss Debora, ożywiły całe towarzystwo.

— Skądże przybyli ci mali goście?—zapytał sędziwej damy zadziwiony naszą obecnością; poglaskał mnie po głowie, ale wtedy wzdrzygnąłem się mimowolnie, sam nie pojmując dla czego.

— Czegóżes taki dziki mój człowieczku? zapytał. Ta panienska pewnie będzie na mnie łaskawszą, rzekł zbliżając się do Tyny aby ją ucałować. Ale ona obrażona cofnęła się z godnością.

— Także to wcześniej zaczynamy swoje sztuki?

A więc mała kobietko, niewolno cię pocałować?

— Tylko tym którym się to z prawa należy, odrzekła.

— Otóż się już nauczyła katechizmu matki Ewy, później może będzie łaskawszą...

— Dajże pokój temu dziecku, rzekła miss Debora, lepiej chodź na wspólną modlitwę zamiast obrażać niewinnych uszu gorszącą mową.

Wkrótce wszyscy zebrani domownicy i goście ukłękli pospół, a czcigodna pani domu, odczytała drżącym głosem stosowne wyjątki z Pisma Ś-go, a następnie odmówiła codzienne modlitwy, łzami popierając proźby

za rodzinę, i za ukochanego króla Jerzego. Całe zgromadzenie wtorowało jej chórem, a gdy wyrzekła uroczyste Amen, wszyscy powstali i rozeszli się po mału.

Pomimo pory mroźnej, Boston ukazał nam się w promiennem świetle jasnej pogody. Uroczysty dźwięk dzwonu, rozlegał się w murach starego grodu zwołując liczną dziatwę swoją, która lubo różna stanem, mową, cerą i ubiorem, dziś zebrała się w jedną rodzinę Chrystusa, aby nieść cześć Panu nad Pany, aby obchodzić wspólną modlitwą, uroczystość jego zmartwychwstania. Cała natura zdawała się tchnąć, owym wyrazem wesela ożywiającego zgromadzenie wiernych, a nawet jasna smuga światła słonecznego, ozłociła ciche ustronie cmentarza, łącząc wspomnienie przeszłości z nadzieją wiekiustego szczęścia. Wstawszy rano pamiętam że wsunąłem się do wspaniałego salonu, gdzie zgromadzić się mieli wszyscy, aby się ztamtąd udać do kościoła. Zastałem tam pułkownika Davenport i miss Debora. Półkownik oświadczył właśnie że przywiózł z Paryża dobór rękawiczek dla ciotki i dla kuzynki.

— Oszczędź sobie trudu wydobycia ich, rzekła oziębło miss Debora, nigdy nie dotknie mojej osoby żaden wyrób pochodzący z tego kraju bezbożnego. Nowości, literatura, opinie filozofii francuskiej, również jak i mody tamtejsze, nie powinny osiągnąć naszej ziemi, bo wszystko co ztamtąd, jest zapowietrzane ateizmem, zgorzeniem, niewiarą. Nigdy... nigdy nie znieważę progów Świątyni Pańskiej, wnosząc tam przedmioty przywiezione z Francji; tu podniosła dumnie głowę zabierając się walecznie do pochodu kościelnego, i zwołała domowników aby ich przygotować stosowną do obecnej uroczystości przemową.

Starsi pojechali powozem, my zaś jako dzieci, udaliśmy się pieszo, pod przewodnictwem półkownika; ujął on rękę Eglantyny, ale ta cofnęła ją umyślnie aby mu się sprzeciwić, a przecież patrzyła nań z boku, Davenport ciągle nią zajęty, żartował z tych dzieciennych wybiegów w których się już przebijala, niewieścia zalotność, i nazywał ją nieodrodną potomką pierwszej matki Ewy. Po odbytem nabożeństwie wróciliśmy do domu, gdzie nas czekał suty obiad, w czasie którego, półkownik ciągle nas częstował opiekując się małą naszą gromadką; zwracał baczną uwagę na Eglantynę, co mu jednak nie przeszkadzało do prowadzenia rozpraw religijno-moralnych z miss Debora. Ile razy uniosła się zapalem kaznodziejstwa, odpowiadał zawsze grzecznym sarkazmem, zbijając fanatyczne jej wybuchy; stara pani Kittery miarkowała również tę zbytnią gorliwość, zwracając umysł córki do chrześcijańskiej pobłażliwości.

Nazwisko Percival wymienione przez kogoś z towarzystwa uderzyło półkownika; przypomniał sobie, że znał oficera angielskiego który gościł u niego na wsi, wracając do swojej ojczyzny i tenże Percival nie zbyt pochlebne o sobie zostawił tam wspomnienie; był tak nie dbały o wszystko co go dotyczyło, że wyjeżdżając zapomniał nawet własnych rzeczy, pozostawiwszy je u służącego, wraz z papierami, o które się także nie troszczył.

Tu lady Lothrop zauważyła, że właśnie ten Percival może być ojcem dwojga opuszczonych dzieci, a owe papiery staną się wskazówką potrzebną do dalszego ich losu. Półkownik wtedy zobowiązał się ich wyszukać i złożyć w ręce osób opiekujących się sierotami.

W owych czasach Boston który początkowo był twierdzą, nie podniósł się jeszcze do wysokości wielkiego miasta, ale raczej był podobnym do rozległej osady, napełnionej ogrodami, z pomiędzy których piętrzyły

się wspaniale mieszkania bogatych, obok skromnych zagród ubogich; można go było nazwać macierzystą przystanią, gdzie się gromadziły pierwotne prace, usiłowania i zdolności dzieci, składające się na wzniesienie grodu, uwiecznionego wspomnieniem pierwszych męczenników wiary. Polegli oni mężnie ogłaszając jej prawdy, składali ciała swoje jako kamień węgielny na podstawie przyszlęj świetności tego miasta, które się szczyci świętymi ich grobami. Przyglądałem się ciekawie tym szacownym zabytkom, bo mi babunia zaleciła, abym wszystko spamiętał i potrafił opowiedzieć za powrotem. Napisy grobowe od najmłodszych lat wzbudzały we mnie wielkie zajęcie; bo łącząc przeszłość z obecną chwilą, przywodziły do myśli żywo dawne obrazy. Lady Lothrop, wraz z całym towarzystwem oprowadzała nas po mieście, abym się przyjrzał wszystkim jego osobliwościom; robiąc przytęm sprawunki, niezapomniano o potrzebach naszego ubioru, i sute odebraliśmy podarki.

Pani Kittery, pomimo ujmującej prostoty w obejściu posiadała zasób głębokich wiadomości, i lubiła czytać; wiele też pięknych i ciekawych książek leżało w jej pokoju. Spostrzegła we mnie zajęcie wzbudzone ich widokiem; zawoławszy mię więc jednego poranku, kazała usiąść przy sobie, i czytać głośno. Wywiązałem się z tego zadania, ku wielkiemu jej zadowoleniu; bo nie tylko że podziwiała u mniedobrą wymowę i stopniowanie głosu, ale i łacińskie cytacje potrafiłem jej przetłómaczyć. Zaczęła mnie wypytywać z tak pociągającą dobrocią, że zwierzyłem się z uczuć moich i gorącej chęci kształceni się w naukach, równie jak biedny, ukochany ojciec, który nas odumarkł... i wraz z matką sierotami zostawił. Tu łzy mowę mi przerwały, zaniósłem się rzewnym płaczem; a dobra pani przyjęła moje wyznanie, tuląc mnie do łona, i obiecała że pomówi z córkami, a może się co uradzi na przyszłość. Ta rozmowa nigdy mi nie wyjdzie z pamięci, zachowałem ją w myśli z całym urokiem ufności i nadziei, jaką mnie natchnęła ta dobra staruszka. Miłość kobiety przewodniczy nam od kolebki, lubo zmienia niejednokrotnie odcienia uczucia. Wspomnienia przeszłości silnie zawsze poruszają serca i dusze nasze; wyrwywają się one do tych błogosławionych srebrnowłosych aniołów, które czuwały przy kolebce naszej, a w późniejszym życiu lubo odbiegają nas już daleko, ale gdy myślą pobieżywszy w ich ślady—ujrzemy je zawsze na odległych krańcach, łączących niebo z ziemią.

Dobra pani Kittery nie poprzestała na obietnicy. Wkrótce po powrocie do Olddown, dowiedzieliśmy się że wspólnie z córkami obmyśliła środki dalszej naszej edukacji, odkładając na ten cel potrzebną kwotę pieniędzy.

Pokrewieństwo z lady Lothrop, i dobre stosunki znajomości, zatrzymały półkownika Dawenport w naszej okolicy. Najwięcej przebywał u miss Mehitable, rozmawiał z nią o ulubionych przedmiotach religijnej treści, a nawet zdawał się przechylać do jej zdania. Wiodocznym było zajęcie się jego Eglantyną; radził o jej wychowaniu, wglądał w nauki pilnie badając zdolności, i upodobania dziewczęcia. Potrafił tak sobie ująć jej opiekunkę że mu zaufała zupełnie—a nawet... zwierzyła mu się z dręczącego niepokoju, który grobowym kamieniem uciśkał jej serce. Opowiedziała tajemnicę zniknięcia ukochanej siostry Emilji, błagając go, aby przez stosunki które miał we Francji, dowiadywał się o nią; co też obiecał uczynić nie bez pewnego zakłopotania.

Wywiązał się też rzeczywiście z obietnicy uczynionej lady Lothrop i nie dosć że złożył jej papiery o których wspominał, a które były ważnym dla sierot dowo-

dem gdyż się tam znajdował akt ślubu ich matki, ale wyszedł miejsce pobytu ich ojca. Percival wrócił do Anglii, ożenił się powtórnie, został ojcem, a że nie wspominał przed nową rodziną o pierwszej żonie i dzieciach, zobowiązał się przesyłać corocznie pewną sumę na ich utrzymanie, nie życząc sobie dalszego w tej mierze rozgłosu.

Miss Mehitable, tymczasem zawsze ślepo przywiązana do lubej wychowanki, czuła że ją psuje zbyt niemię poślężaniem a przecież nie mogła się zdobyć na potrzebną energię, aby dać właściwy kierunek małej ujmującej czarodziejce, która każdego umiała sobie zniewolić. Poetyczne usposobienie Eglantyny obiawiała się w każdym jej ruchu i spojrzeniu, dzwięczało w jej głosie harmonijnym urokiem. W miarę jak czternastoletnie dziewczę rozwijało się bezwiednym wdziękiem, jej opiekunka poczuwała się do wielkości swych obowiązków i lękała się ich zarazem, zważając na odpowiedzialność jaką mogła ściągnąć na siebie niedokładnem ich wykonaniem. Początkowe nauki udzielone w szkółce parafialnej, potrzebowały dalszego wykończenia, a że Pastor Lothrop przybrał za pomocnika prac swych duchownych, młodego kandydata, Mardocheusza Rossiter, krewnego miss Mehitable uradzone więc, że ten młody człowiek, znany z cnót i mądrości, będzie nauczycielem. Eglantyny, na co i on też chętnie się zgodził. Odtąd przebywał codziennie po kilka godzin w domu miss Mehitable kształcąc jej wychowankę.

Któż mógł wszakże przewidzieć, że ów mędrzec ponury, zatopiony w nauce, oddany pobożnym rozmyślaniom, ów pogromca marności świata, jego ucies i próżności, ulegnie powszechnemu prawu, i zapłacze się w jego sidła, spojrzawszy ze zbyt żywym zajęciem na piękną uczennicę! Eglantyna, zawsze pusta i wesola, nigdy się nie troszczyła, o zachowanie powagi w obec swego nauczyciela; po ukończonej lekcji, rozmawiała z nim swobodnie; śmiała się z zaniebanego jego ubioru, z pomiętych kołnierzyków i tym podobnie; mistrz zaś pokorny i postłuszny, przeistaczał się z wolna w światowego eleganta. Zwracało to po trochu baczną uwagę ciotki, ale że wcale nie była przeciwną, aby młody krewny starał, się o względy jej wychowanki, rozczulony Mardocheusz oświadczył się w końcu o jej rękę. Eglantyna, uciekla w tedy z pokoju płacząc i wyrzekając i słuchać go nawet nie chciała. W prawdzie wiek młodocianny dziewczęcia dostatecznie je tłumaczył, miss Mehitable, wszakże powtórnie uczuła się zmuszoną poradzić starszego brata Jonathana co z nią począć dalej? Odpisał jej, że w mieście Cloudland istnieje zakład naukowy dla panien, i że Eglantyna mogłaby tam znaleźć dobrą opiekę i dozór u córki pastora; a nawet, dodał w swoim liście, Henryk i Horacy mogliby uczęszczać do tutejszego kollegium, zaczynając kurs wyższych nauk. Niech tylko przybędą, to i miejsce się dla nich znajdzie.

Projekt ten ogólnie został przychwalonym, i w krótko potem wuj Jakób mając do załatwienia rozmaite interesa w tamtych stronach, podjął się odwieść nas do Cloudland o kilka mil od Olddown. Zacni opiekunowie nasi udzielali nam licznych błogosławieństw, upomnień darów i zapasów, na drogę. My zaś z Henrykiem, uważając się już jako ludzie stworzyliśmy zamiary na przyszłość. Głównym ich celem było, połączenie się w jedną rodzinę, aby utrwalić święty związek przyjaźni, który od pierwszej chwili poznania pociągnął ku sobie nasze serca. Marzyłem tylko, aby usilną pracą dojść szczytu nauki, dobić się na jej polu wyższości i sławy zapewnić świetną przyszłość dla Eglantyny, i nazwać ją kiedyś moją żoną; pragnął tego i Henryk który był nie-

pospolitym młodzieńcem i nie tylko przychylności, ale i częstą wzbudzał ogólną. Wychowany przez całodliwą matkę dziecinne sercem, a wyższym umysłem pojmo-  
wał jej męczeństwo, zespolił się z jej cierpieniem, a owiany tchnieniem tej świętej duszy, przejrzał w raz z nią przestwory niebiańskiej dziedzi-  
ny; serce jego namaszczone ufnością wiary, zachowało na przyszłość ce-  
chę wyższego poczucia obowiązków względem Boga, ludzi i siebie samego. Wrodzona szlachetność prze-  
bijająca się nie tylko w pełnej wdzięku postaci, ale w każdym ruchu i słowie jego. Nabożny i cichy, łą-  
czył on uczucie własnej godności, z niezmierną dla wszystkich uprzejmością. Dumny byłem z takiego przyjaciela, a chociaż czulem wyższość jego, kochałem go bez granic, i cieszyłem się szczerze, że wspólnie bę-  
dziemy odbywać zawód szkolny.

Żegnając się z cichym zakątkiem, gdzie zostałem przytulonym do serca rodziny, i tyle lat spędziłem, ze-  
brałem książki mego ojca, przyszły mi na myśl wtedy cią-  
głe przeciwieństwa których on w naukowym zawodzie doznawał. Myślałem że mój wyjazd do akademii był spełnieniem marzeń których on dla siebie nigdy nie mógł skutecznie!

Piękna to była noc czerwcowa, promienne światło księżycy roztaczało srebrne blaski w głębi pokoju, Hen-  
ryk spał od dawna, ja zaś stałem zamysłony... przywo-  
lując wspomnienia przeszłości, i nagle zdało mi się że widzę mego ojca, spoglądającego na mnie z wyrazem niewypowiedzianej rzewności i szczęścia. Z rozumia-  
łem milczącą mową ducha, przyjąłem nieme jego bło-  
gosławieństwo na drogę, i ukochane widzenie znikło po-  
woli zostawując mi błogie wspomnienie.

Nazajutrz o świcie byliśmy gotowi do drogi, wuj Jakób zabrał naszą wesolą trójkę na swój wózek, Eglantyna, Henryk i ja pożegnaliśmy dobrych, kochanych opiekunów naszych, unosząc ich błogosławieństwo. Po dwudni-  
wej podróży stanęliśmy na miejscu przeznaczenia przed domem pastora Avery, który wyszedł na nasze powita-  
nie w raz z córką swoją piękną Esterą i Jonathanem Rossiter. List Eglantyny który tu przytaczam, dokła-  
dnie nasze przybicie opowie.

„Otóż droga Ciociu jesteś w nowym siedzibie naszej zbudowanej u szczytu niebotycznej góry, prawie się tu czuję wywyższoną nad obszar ziemi, bo nie tylko miejsce samo, ale i mieszkańcy wysoko stoją sercem i rozumem; że mam nadzieję przejąć się choćby odbłyśkiem ich doskonałości, i przy usilnym staraniu, poprawić się ze zwykłych błędów mego charakteru. Podróż nasza była tak pełną pustoty i śmiechu, że wuj Jakób zapomniał o swojej powadze. Cóż bo za cuda przyrody, co za bogactwo jej piękności mieliśmy przed oczyma. Wschód słońca oczarował mnie niewysłowionym zachwytem; próbowałam określić moje wrażenia, ale nie śmiem ich przesłać. Czuję się teraz prawdziwie na drodze postępu, wszystko tu w około ma cechę doskonałości. Dom zacnego pastora Avery jest siedliskiem cnoty, jego córka Estera bardzo dobra i piękna, pokochałabys ją od razu droga Cioteczko moja, zdumiałam na widok smukłej, pełnej wdzięcznej powagi jej postaci, a gdy zwróciła na mnie swoje wielkie łagodne czarne oczy, zdawało się że całą duszę na wskroś mi przejrzała. Krucze spłoty jedwabnych włosów otaczają wdzięczną koroną zadumane jej czoło, siedlisko myśli głębokich, bo Estera jest prawdziwie uczoną kobietą, a przecie przytém czynną i pracowitą. Opiekuje się młodszym rodzeństwem, rządzi całym domem, wykłada naukę matematyki w szko-

le. Cóż powiesz na to Cioteczko że czyta Wirgiliusza w oryginalu, a teraz tłómaczy ustępy greckich tragedij wraz z p. Rossiter. Gdyby nie dobroć i skromność Estery, lękałabym się jej wyższości. Opowiem ci jeszcze jak nam dzień schodzi. Estera podzieliła ze mną swój pokoi-  
k— a cóż to za miły pokoi-  
k moja Ciociu! Wstajemy o szóstej rano, pozostaje nam więc trzy godzin przed pójściem do szkoły. Po śniadaniu obie z Esterą, bierzemy się do sprzą-  
tania pokoju, następnie uczyć się lekcy; tymczasem zaś ona zajmuje się dziennym obrządkiem domowym. Trzech malców swawolnych gotowych zawsze do zwady i talerza, potrzebuje właśnie troskliwej powagi starszej siostry. Murzynka Dinach tutejsza kucharka, nieobejdzie się również bez nadzoru młodej pani, która wszystkiemu daje radę. Kocham Esterę i pragnę być jej choćby trochę podobną, bo dorównać jej nigdy nie zdołam. Sir Rossiter wysłuchał egzaminu Henryka i Horacego i zdaje się być zadowolony z ich wiadomości, ale... muszę przyznać droga Ciociu, że brat twój nie jest wcale łaskaw na mnie, wprawdzie... nie tracę nadziei, że z czasem potrafię go sobie zjednać, lecz dotąd spotykam tylko surowe, a nawet niechętnie przyjęcie. Tysiączne serdeczne pocałunki tobie ukochana opiekunko moja. Nie mówię ile cię kocham, bo wysłowić nie zdołam tego co czuję. O tak Ciociu wiem że cierpisz skrycie, jakbym ci ulżyć rada! Pozdrawiam wszystkich w Olddown, a ciebie droga Ciociu tysiącznie całuję“.

Tyna.

Szkola w Cloudland stała się kolebką najznakomitszych inteligencji, któremi się zaszczyca Nowa-  
Anglia. Trzeba też przyznać, że ta miejscowość zawsze się odznaczała szczerą chęcią oświaty; budowanie kościołów jednoczyło się tu z urządzaniem szkół, a tak wiara złą-  
czona z nauką, rozkrzewiała szybko prawdziwe światło.

Dziewczęta wspólnie z chłopcami pobierały tu nauki, jak zwykle w stanach Masachussetu. Jeżeli zaś która z córek Ewy zapragnęła postąpić w wyższej sferze poważnych nauk, nie spotkała cherubina któryby ją ognistym mieczem wypędzał z granic tego raj. Jonatan Rossiter, wykładał matematykę i języki starożytne, miał kilka uczenic odznaczających się pilnością, postępem i szczególniem zamiłowaniem tych przedmiotów. Do ich liczby należała piękna Estera, córka pastora Avery.

Młode panienki uczęszczające do szkoły zostawały pod przewodnictwem miss Litcomb. Zaczynała ta pani odznaczała się nie tylko wszechstronnem wykształceniem umysłu, ale była zarazem wszystkich cnót i przymiotów wzorem; łącząc wytworność światowego obejścia z niewypowiedzianą słodyczą charakteru, otaczała powierzona sobie panienki, czujną i troskliwą opiekę. Przyzwyczajone ich ułożenie, również jak i należne dobremu wychowaniu przymioty, cechowały uczennice tego zakładu, czyniąc zaszczyt ochmistryni. (d. c. n.)

## Od Redakcyi.

Numer obecny jest przedostatnim bieżącego kwartału. Przypominamy zatem prenumeratom kwartalnym, wczesne złożenie przedpłaty, na kwartał następny, jeżeli niechęć doznać opóźnienia w przesyłce pisma.

Do dzisiejszego numeru Kroniki Rodzinniej, dołącza się Prospekt na Tygodnik Mów i Przyjaciela Dzieci.

Sprostowanie omyłki druku: w Nr. poprzedzającym na str. 59, w szpalcie 2, w wierszu 18, zamiast: *zum Schütz und Fritz*, czytaj: *zum Schutz und Trutz*.